

BLUSZCZ

Spoleczno-Literacki Ilustrowany Tygodnik Kobiec

ROK LX

WARSZAWA, DNIA 5 LISTOPADA 1927 ROKU

NR 45

TREŚĆ NUMERU: Czy nie anachronizm?—*Dr. Herminja Naglerowa*. Kwiatki warszawskiej codzienności — *M. H. Szpyrkówna*. W miłości i boju — *Stefanja Podhorska - Okołów*. Wiersz: „Dziady” — *Stefanja Podhorska - Okołów*. Księżna Łowicka (c. d.) — *Adam Czarłowski*. Profesor — *Max Wit*. Kaczęta (powieść) c. d. — *W. Miłaszewska*. Kobieta w świecie i w domu — *N. J. i R. C. H.* Ongi a dziś — *Z...a*. Wystawa prac malarsko - dekoracyjnych p. *Zofji Raczyńskiej* — *Well*. Czyszczenie dywanów — *J. S. Koszykowe* — *Pani Elżbieta*. Jubileusz Koła Miłośników ogrodnictwa. Przepisy gospodarskie — *Pani Elżbieta*. Dobre rady. Korespondencje. Dodatek „Mody i roboty”: Rękawiczki — *Well*. Serwetka na kanwie kongres. Dodatek powieściowy: „Poławiacz dusz” — *Douglas Goldring*, — autoryzowany przekład *Haliny Gromadzkiej*. Arkusz wzorów.

CZY NIE ANACHRONIZM?

W pokłosiu naszych okólników ministerjalnych trafiają się jeszcze takie kwiatki, które pachną co najmniej anachronizmem. Mam na myśli rozporządzenie pana ministra poczt i telegrafów, które brzmi:

„W myśl rozporządzenia wykonawczego ministra poczt i telegrafów z dnia 29 lipca r. b., Nr. 1206/I, (Dz. Min. P. i T Nr. 28) oznajmia się, że każda z spośród pozostających w służbie pocztowo-telegraficznej mężatek ma złożyć w urzędzie oświadczenie męża, iż znane mu są wszystkie przepisy, którym żona jego, jako pracownik w służbie pocztowo-telegraficznej, względnie telefonicznej, podlega, oraz, że *godzi się na dalsze pozostanie jej w służbie*. Na złożenie tych zaświadczeń i na przedstawienie ich Dyrekcji, po odpowiednim skompletowaniu, daje się termin do 1-go listopada r. b. Zarazem oznajmia się, że urzędnik (pracownik) kobieta, mająca zawrzeć związek małżeński, *obowiązana jest złożyć przed zawarciem związku oświadczenie narzeczonego o takiej samej treści, jakie składają mężatki*. Podpisy mężów i naręczonych powinny być uwierzytelniane. Okólnik należy podać do wiadomości wszystkim zainteresowanym, a ponadto wywiesić go w urzędzie na widocznym miejscu. Nr. 102/I z dnia 16 września 1927 r.“

Odpowiedzią na to rozporządzenie jest, oczywiście, w pierwszym rzędzie 101 Art. Konstytucji, który brzmi:

„Každy obywatel ma wolność obrania sobie na obszarze Państwa miejsca zamieszkania i pobytu, przesiedlenia się i wychodźstwa, niemniej *wolność wyboru*

zajęcia i zarobkowania oraz przenoszenia swej własności. Ograniczenie tych praw może wprowadzić tylko ustawa.“ Konstytucja jest jednak lekturą nudną i zawiera zbyt wiele paragrafów, aby je umieć aż na pamięć. Zwłaszcza, jednak, staje się Konstytucja nieprzystosowana, gdy chodzi o obywateli płci żeńskiej. Co innego bowiem jest „martwe” słowo, a co innego „mądrość” praktyczna. Zastanówmy się więc nad praktycznością tej mądrości, którą na „widocznym miejscu” ogłasza okólnik ministra poczt i telegrafów.

Trzeba, oczywiście, po przykłady sięgać do czasów patriarchy, kiedy to „pater familias” miał prawo życia i śmierci w swojej rodzinie. Mógł, gdy mu przyszła ochota, żonę, syna lub córkę sprzedać w niewolę lub zabić. Nie wiem, czy wtedy było dobrze, nie pamiętam... Może, zresztą, w poprzednich wciele niach nie byłam niewolnicą, a tylko wolnym kamieniem przydrożnym? Naprawdę, nie pamiętam... Natomiast pan minister poczt i telegrafów, wspomniawszy te pradawne czasy, wskrzesił je w swoim pocztowo-telegraficznym państwie.

Ba, poszedł jeszcze dalej! Formułka: „ubi tu Caius, ibi ego Caia” — nie wystarcza dziś, trzeba bowiem z gruntu poskromić nieposłuszeństwo dzisiejszej białogłowy, czy podwiki, i zanim jeszcze stanie na ślubnym kobiercu, nauczyć ją moresu. Tak! Chcesz być urzędniczką pocztową dwudziestego piątego stopnia, płatną 7 godzin na dobę? dygnij pięknie przed twoim lubym, zarzuć mu ramiona na szyję i szepnij słodkim głosem: „Pozwól mi, ach, pozwól! — błagam cię w imię naszej miłości! uwierzytelnij twój najuko-

chanszy podpis, a za to przysięgam ci dozgonną wierność!..“

Nie wiem, co i jak odpowie na to narzeczony, bo nie znam jego stanowiska wobec równouprawnienia kobiet, nie wiem też, czy otrzymał stabilizację na urzędzie narzeczonego. Taki pan z tytułem „narzeczony“ przedstawia się bowiem jakoś dziwnie niejasno nawet wtedy, gdy już ofiarował narzeczonej pierścioneć i był z nią raz w teatrze, pięć razy w kinie, a w niedzielę poszli pod rękę do Parku Skaryszewskiego.

Wyobrażam sobie jednak minę owego narzeczonego, gdy będzie podpisywał zezwolenie dla swojej ukochanej! Mogę zapewnić, że będzie to miną—niemądra. Bo czegoż, u licha, chcą od niego? Dlaczego już musi figurować na akcie urzędowym, jako ktoś, który się zobowiązał, któremu nijako już się cofnąć?!

A co się stanie, gdy za miesiąc ten sam „narzeczony“ zaręczy się z koleżanką byłej narzeczonej i z kolei tę drugą zaprosi na czarną do Ziemiańskiej? Znowu będzie musiał podpisać identyczny skrypt, i znowu uwierzytelnić podpis, i znowu będzie wciągnięty w akta. Los jest często niemal tak dowcipny, jak dobra humoreska, i zdarzyć się może, że ten sam pan X może zapełnić fascykuł aktów kilku, czy nawet kilkunastu zezwoleniami.

Pan X. będzie jednak, abstrahując od jego karygodnej niestałości, dobrym chłopcem, który, tak czy owak, uznaje pracę kobiet w zawodzie pocztowo-telegraficznym. Natomiast gorzej jest z p. Z., który ma przesady w tej mierze, odziedziczone w prostej linii po ojcach, i za nic, ale to za nic nie da zezwolenia narzeczonej!—Trudno, moja droga—wybieraj: albo aparat Morsego, albo ja; albo pieczęć pocztowa, albo moja miłość!

Takie to i tym podobne tragifarsy mogą wyinknąć na skutek rozporządzenia pana ministra poczt i telegrafów.

Trochę poważniej, lecz jeszcze nie zupełnie serio przedstawia się sprawa z zezwoleniem mężów. Trudno zrozumieć, że coś takiego może się wogóle zdarzyć u nas, gdzie na każdym kroku wysuwa się przeciw naszym „pretensjom“ ważki argument: Czego, właściwie, chcecie? macie przecież Konstytucją zagwarantowane wszystkie swobody!

Wyobraźmy sobie, że ministrem poczt i telegrafów będzie kiedyś u nas kobieta, (nie chcę takiej ewentualności między bajki włożyć) i że ta kobieta-minister w przystępie złego, czy dobrego humoru, wy-

da rozporządzenie, aby urzędnicy żonaci, lub tylko zaręczeni wykazali się zezwoleniem żon i swoich narzeczonych, że wolno im spełniać urząd, że ich kobiety znają przepisy i t. d. Prawda, że to nie jest do pomyslenia? Bo jakże, skąd, dlaczego, poco, na co, jakim prawem?... O to samo pytamy dziś my, kobiety, gdyż chciałybyśmy poważnie odnosić się do poczynania naszych ministrów.

W chwili, gdy piszę ten artykuł, główny zarząd pracowników poczt i telegrafów zwrócił się do swego ministra z prośbą o unieważnienie omawianego okólnika. Pan minister obiecał Związkowi cofnąć wydane rozporządzenie. Sądzę, że gdy artykuł niniejszy opuści prasę, obietnica pana ministra będzie już spełniona. I nibyto wszystko będzie w porządku i cała sprawa pójdzie w zapomnienie. Mimo to jednak fakt, że mogło być ukazać się tego rodzaju rozporządzenie, należy jaknajdobitniej napiętnować. Któż bowiem zaręczy, że takie fakty się nie powtórzą, i że raz poraz trzeba będzie protestować, oburzać się, wnosić prośby (tak, prośby!), by zechciano łaskawie cofać krzywdzące i nieobliczalne okólniki? Trzeba więc kategorycznie oświadczyć, że wobec cytowanego artykułu Konstytucji, wobec noweli do ustawy cywilnej z dnia 1-go lipca 1921 r., prawa kobiety w Rzeczypospolitej polskiej nie mogą ulegać zmiennym rozporządzeniom poszczególnych ministrów!

Przy tej okazji przypomnę tu jeszcze jedno curiosum, które w kwietniu 1926 r. stało się ustawą, uchwaloną solidnie przez Sejm śląski. Jest to ustawa o... celibacie nauczycielek szkół powszechnych na Śląsku. W myśl tej ustawy niewiasta, która wybierze zawód nauczycielki szkół powszechnych i pragnie w zawodzie tym pracować, a nawet doczekać się dobrze zasłużonej emerytury, musi pozostać w „panieńskim staniku“ gdyż zamążpójście pozbawi ją posady bezapelacyjnie. Ustawa już przeszło od roku obowiązuje na Śląsku i, o ile wiemy, kilkadziesiąt zamężnych nauczycielek zwolniono z posad, wypłacając im jednorazową odprawę.

Stwierdzam, że, popierwsze, sprzeciwia się taka ustawa zasadniczo Konstytucji, obowiązującej w całej Rzeczypospolitej, podrugie — jest w praktyce krzywdzącym bezsenssem.

Wzywam więc związki, ugrupowania, koła, kluby i zrzeszenia kobiece, aby w sprawie nauczycielek śląskich wystąpiły z jaknajenergiczniejszym protestem. Nie wolno takich ekscesów przeciw prawu i wolności człowieka i obywatela ani przez chwilę tolerować!

Dr. Herminja Naglerowa.



M. H. SZPYRKÓWNA

KWIATKI WARSZAWSKIEJ CODZIENNOŚCI

W myśl tego, że należy się dzielić z bliźnimi radością i smutkiem, o ile to może być pedagogiczne, postanowiłam sobie, że jednak tem przedpołudniem się podzielę. Bo... w całości i niepodzielnie stanowczo bym go nie wytrzymała: rozsadziliby mnie, jak proch, nagromadzeniem efektów.

Pewnego tedy, i to niedawno minionego dnia, po uczciwie wykonanych pracach i kwadransie gimnastyki, zasnęłam w błogim zamiarze jutrzejszy ranek poświęcić, wbrew zwyczajowi, nie pisaniu na maszynie powieści, tylko—załatwieniu sprawunków na miesiąc, co zdarza mi się względnie rzadziej. I otóż, obudzony się po tem postanowieniu nazajutrz sprężysto i radośnie, ani myślałam, że zrodzi się nawet i z tego... artykuł.

Rankami człowiek czuje się rzeźki i zdrow, o ile nie zrobił krzywdy bliźniemu i nie ma tego dnia ani podatków, ani dentysty. Wysłałam tedy na miasto, usposobiona przyjaźnie dla ludzi i świata, i poszłam—ach, to będą strasznie prozaiczne sprawy!—do jednego z lepszych sklepów z obuwem, odebrać pantofle. Potem miałam iść na pocztę nadać listy, potem — do pralni chemicznej i potem, co Pan Bóg nadarzy, byleby zdążyć na drugą na obiad. Słońce świeciło pięknie, a droga do parku Skaryszewskiego nęciła, jak perspektywa błękitnych możliwości. Za godzinę powinienabym wszystko załatwić i możnaby zastosować trochę tak modnego w Anglii „footingu“ na schudnięcie.

W sklepie z obuwem trzeba było trochę zaczekać, bo jeszcze właśnie nie było gotowe. Usiadłam i czekałam. Nóżki, nogi i stępy migały, wyczyniając przed lustrem wdzięczne ewolucje dla wypróbowania efektów. Przejrzałam najnowsze fasony, przejrzałam dzisiejszego „Kurjerka“, zaczęłam przeglądać zeszlotygodniowy „Świat“. Po przeszło półgodzinnem czekaniu dowiedziałam się, że na zaraz pantofle jednak być nie mogą, bo coś tam stanęło absolutnie na przeszkodzie. All right! Z przeznaczeniem walczyć nie można. Obrzuciłam melancholijnym wzrokiem piękny emblemat na ścianie:—„Ceń własny czas—i nie zabieraj go innym!“.. I wysłałam, odkładając pantofle do jutra.

Jeżeli o tem piszę, to dlatego, że postanowiłam sobie pisać ściśle tak, jak istotnie było. I powtarzam, że wstałam tego dnia radosna. Ach! Jakże inaczej się czułam po powrocie!

Na Marszałkowskiej wstąpiłam nadprogramowo do jednego z największych naszych sklepów z trykotażami, bo zobaczyłam komplet, który odpowiadał moim poszukiwaniom. Sklep ma zresztą bardzo efektowną wystawę i renomę. Komplet nie był brzydkie, i zdecydowałam się przymierzyć. Ku memu zdziwieniu, panna z kostjumem na rękę zatrzymała się wstydliwie koło drzwi.—Bo tam teraz jedna klientka mierzy. Zaraz wyjdzie.

Klientka jednak nie wychodziła i zdecydowałyśmy się wejść. Zdumienie moje nie miało granic, kiedy ujrzałam się w malusieńkiej, ciemnej ciupce za sklepem, zawalonej pudłami i gratami, i w której drzwi było wprawione liche lustro. Tamże wisiały palta personelu i stał czajnik. Owa klientka, zgodnie widocznie odemnie, mierzyła właśnie sweter, pracowicie obracając się w ciasnocie i zagradzając przejście. Był to tak rażący kontrast ze wspianą wystawą, że stanęłam krótko:

— Jako? I państwo nie mają innego gabinetu do przymierzenia?! Taka firma?!

— Nie mamy, proszę pani. Tu też można przecież zmierzyć.

Miałam ochotę przyznać, że wkońcu można „przecież“ zmierzyć i... na dachu. Osobiście jednak straciłam zaufanie do mierzonego. Przeprosiłam panienkę, ale, przechodząc koło wspianej osoby przy kasie, wyraziłam swoje zdziwienie. Osoba obejrzała mię obrażonym wzrokiem i odparła z godnością:

— Jaki gabinet mamy, czy nie mamy, to już nasza, nie czyja rzecz!

Skonstatowałam, że istotnie. Ale rzeczą klientki jest, płacąc drogo i wchodząc do przyzwoitej firmy, liczyć na przyzwoite otoczenie, a zawiódłszy się, tej firmy na przyszłość unikać. Poczem wysłałam, ale słońce już wydało mi się mniej radosne.

W pralni chemicznej, w której byłam już trzeci (dokładnie) raz, panienka obejrzała uważnie kwit, rzuciła okiem za szybę, gdzie przeciągały fascynujące sylwety przechodniów, i powiedziała obojętnie:

— Będzie na wtorek. Jeszcze nie odesłali z farbiarni.

— Ale miało być już przed dziesięcioma dniami. Przychodzę trzeci raz!

— A cóż ja zrobię, jak mi nie odsyłają? — zirytowała się elegancka panienka. — Przecież nie polecę do pracowni sama?!

Nie, toby było niewskazane. Zaczynały mię boleć nerwy, jak mówią francuzi. Spytałam, jak i poprzednio, czy we wtorek napewno będzie, otrzymałam odpowiedź, jak i poprzednio, że napewno — i poszłam na pocztę. Nie do wiary! Na poczcie z dziesiątej zrobiła się już pierwsza za kwadrans i nie załatwiłam jeszcze nic.

Przepadam za naszą pocztą. Piękny, reprezentacyjny, okazały gmach. W marzeniu człowieka, idącego po znaczki, wygląda, że jest tam sto okienek i z każdego okienka wylatują długie tasiemce znaczków, które tylko brać. W istocie jednak okienka są nad wyraz chytre: gdzie puściej, tam, pokazuje się, trzeba kupić odrazu znaczków hurtem za jakiś duży pieniądz, a gdzie można je kupić zwyczajnie, tam stoją ogony. Ale jakie ogony! Kangurby się nie powstydzili. I oto pozostaje tylko stanąć w ogonku i czekać cierpliwie.

Stałam, czekałam, dostałam, zapłaciłam... gdzież tam! Nie zapłaciłam. Panienska wzięła moją dwuzłotówkę, obejrzała i wyrzuciła z powrotem.

— Proszę o drobne. Nie mam reszty.

— Ależ, proszę pani, to są chyba dość drobne! Przecież nie dają dwudziestu złotych. Czekałam tyle czasu w kolejce.

— Nic na to nie poradzę. Skąd ja pani wezmę drobnych, jeżeli nie mam? Nie mam obowiązku wydawać reszty. Taki przepis!

Przepis, to święte słowo! Niema rady. Ponieważ straciłam kolejkę, poszłam już na urząd telegraficzny, zdecydowawszy się nadać depezę zamiast listu. Depesza napewno będzie kosztowała ze dwa złote, więc kłopotu ze zmianą nie będzie, a prędko dojdzie. Stałam w kolejce i, patrząc na zegar, myślałam o nietrwałości uciech tego świata. Rano czułam się taka rzeźka, taka pełna sił! — Obróciłam się na znajomy głos.

— Moje uszanowanie pani! Wściekły jestem, jak nie wiem co. Poszedłem kupić znaczków, a ta (przykroby było tej paniencie, która pewno myśli, że jest uprzejmą) powiada mi, że nie ma reszty. Z pięciu złotych nie ma reszty! Przyszedłem tutaj i depeżuję. Mniej-szy kram!

— A ja nie dostałam reszty z dwóch złotych, i jestem łagodna. Ale po południu znagła kogos za-

morduję, to już pewne. Mam dziś taki dzień. Sam wdzięk.

Poskarżyliśmy się sobie wzajemnie i wreszcie, nadawszy depezę, wyszłam. Na Mazowieckiej, tuż koło Ziemianki, wprost na mnie wyleciał z rykiem jakiś bardzo mały chłopak, za którym gonił stróż.

— Ja ci, taki, owaki! Będzie mi tu żebrał! Tak ci dołożę, że się nakryjesz. Frant!

Stróż się cofnął, a chłopiec, jak ranny psiak, kuląc się i skomlać, usiadł, przeleciawszy kilkanaście metrów, na schodku i, trzymając się za szyję, szlochał, jakby jeszcze bity. Zebrała się gromadka.

— Bo... ja mam tu wrzód! W aptece rano za darmo zalepili, a tera on me uderzył, to me trafił we sam wrzód... to me boli! Ojej! Ojej! Ojej!

Głosy:

— E! Ten tu zawsze pod oknami wystaje. Onby tam dał się zbić... Majster!

— Ale przecież boso na taki chłód, i tylko ta podarta koszulina... Mały, gdzie mieszkasz?

— W barakach... Mama chora, ja głodny, wrzód na szyi...

Idziemy hurmem do apteki. W aptece panna opryskliwie mówi:

— Z czego? Z zimna! Przecież nagi, zmarznięty na kość. Rano już był na opatrunku.

Robimy składkę. Chłopiec chowa śpiesznie pieniądze, łypiąc oczyma i kuląc się.

Nieufne, zastrachane, uciekające oczka.

Boli mię samo patrzenie na tę grudkę nędzy. Odchodzę tem śpieszniej, że jest już godzina kwadrans po drugiej. Wracam do domu i, oczywiście, spóźniam się na obiad. Czuję się, jak poduszka do szpilek, pokłuta ze wszystkich stron, i nie masz we mnie radości! Z przykrością myślę o tem, że jutro rano będę musiała znowu iść po pantofle, że pralnia chemiczna będzie nie gotowa, że listy jednak co czas jakiś trzeba wysyłać, i że na Mazowieckiej mały chłopiec z wielką wrzodziąką na szyi zarówno niewątpliwie płacze z bólu i krzywdy, jak niewątpliwie naciąga przy sposobności litościwe osoby. I robi mi się szaro, smutno i nieznośnie na myśl, że znowu zacznie się dzień.



STEFANJA PODHORSKA-OKOŁÓW

W MIŁOŚCI I BOJU

Sylwetka pośmiertna ś. p. Gustawa Daniłowskiego.

W przedziale wagonu, gdzie czarny pył polskiego już węgla sypał się na korale kapryjskich goździków, na pękające z nadmiaru soków topazy i granaty przejrzalnych kampańskich winogron,—spadła na mnie wiadomość o śmierci Gustawa Daniłowskiego.

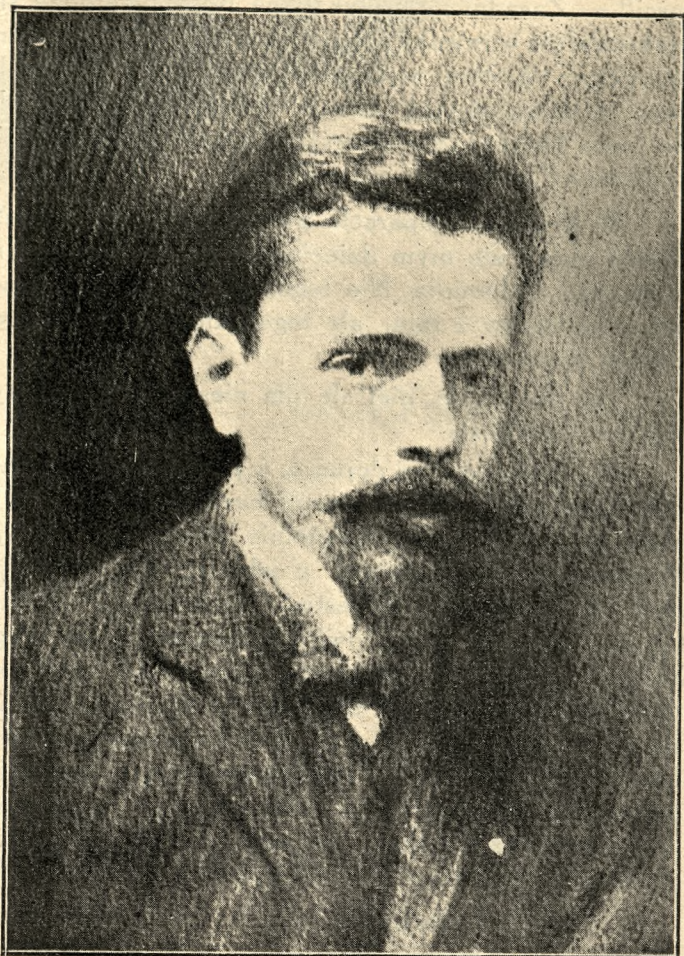
Stalowe czółenko pociągu pruło złocisty kilim jesiennego krajobrazu, a ja, patrząc na omdlewającą w zaduchu wagonu szkarłatne goździki, pomyślałam:

— Takie było życie Gustawa Daniłowskiego! Płomienny kwiat, przysypany zrazu pyłem podziemnej roboty, potem krwawym kurzem kamienistych dróg bojowych, na ostatku — rdzawemi opiłkami szlifującej się na wielkiej tokarni świata, Polski... Biedny szkarłatny kwiecie, wytrysły niegdyś triumfalnym pakiem młodości w studenckiej izdebce! nie oszczędziło życie żadnego z twych płatków!

I oto leżysz przedemną, podcięty kłosie, w którym kielkujące ziarno jutra zmaga się z uporczywie trwałym kwieciem dnia wczorajszego, a mętne majaki nieuleczalnej młodości rozpaczliwie wołają o mięso i kość dla niedoszłych odwcieleń.

Trudno jest kreślić syntezę indywidualności twórczej, której całe życie i treść były tej syntezy zaprzeczeniem. Daniłowski był ogniskiem promieni, które załamywały się w nim samym boleśnie, zanim, przefiltrowane przez kryształ rzeczywistości, zdążyły na ekran wyobraźni twórczej rzucić tęczone widmo artystycznego realu. Rytm jego wysiłków twórczych był rwanym tętentem cwałującego konia. Nieokleżnanemu rumakowi daleko było nie tylko do olimpijskiego spokoju, ale do apollinijskiej równowagi. Niepokojny dionizyjski duch pokutował w tem ciele wiecznego charkowskiego studenta, który świat cały chciał zreformować „zasadniczo“.

Z tym „studenckim“ charakterem indywidualności Daniłowskiego, kojarzy się pewne, osobiste moje, wspomnienie z odległego dzieciństwa. Nauczycielka moja, której zawdzięczam pierwsze rewelacje z dziedziny czterech działań i tajemnic pisowni „według Akademji“, przyniosła rodzicom moim wiersze „młodego poety polskiego, przysłane z Rosji“. Symulacyjnie pograżona w zadaniu o basenie, do którego woda wlewała się trzema rurami, a uciekała czwartą — łowiłam rozpalonem do czerwoności uchem czarodziejskie słowa nieznaney poezji.



Ś. p. Gustaw Daniłowski

...Do ubogiej stancyjki studenckiej wniesiono samowar.

Poweselało w zimnej izdebce. Czegoż bo nie dojrzał młody zapaleniec w białych obłokach pary?! Była tam sława, miłość, szczęście, raj rozkoszy i usta ukochaney kobiety! Samowar huczał, świstał, śpiewał hymn radości i triumfu! Aż wreszcie rozwiały się cuda, ucichły peany. A niepoprawny marzyciel trzymał w rękę tylko „pękaty, wystygły samowar“...

Daniłowski przeżywał wówczas ostry kryzys konradowego buntu; przekraczał ten najwyższy próg nasilenia uczuciowej temperatury, który dla większości natur twórczych staje się odskocznią w świat czynu. Prometeusz spętany targał więzy w duszy młodzieńca,

rycerz ideału rzucał rękawicę Bogu. Gest, od czasów romantyzmu tak zużyty i nadużyty, że aż stał się poetyckim szablonem, formułą bez znaczenia. Ale dla Daniłowskiego miał on walor posunięcia życiowego.

— Tyś świat źle urządził, ja go będę przerabiał. Zezwoliłeś na krzywdę, niesprawiedliwość, ohydę, — ja tę ohydę będę zwalczał, a za krzywdę będę się mścił! — Zasadniczy krytyk Pana Boga przerodził się momentalnie w rewolucjonistę i spiskowca. Ręka, buntowniczym gestem wyciągnięta ku niebu, chwyciła chciwie konspiracyjną „bibułę“ i miłośnie przycisnęła do serca bombę, tę uniwersalną pigułkę na wszystkie społeczne i polityczne choroby.

W krwawych oparach podziemnej roboty Daniłowski zjawił się mym dziecinny oczom z mieczem karzącego archanioła. Nie tego, który wypędził pierwszych rodziców z raju, ale tego, który do raju utraczonego szturmuje.

Nie dla siebie, nie! ale dla nieszczęsnej, pokrzywdzonej ludzkości.

Znacznie później dopiero, w pewne upalne czerwcowe południe, czytając wśród buchających miodnym aromatem, srebrnych kadzielnic akacji jego „Marję Magdalenę“, zrozumiałam, o jaki mu raj chodziło. Było to helleńskie królestwo zmysłowego piękna. Ciepły marmur ciała, owiany dymem poetyckiego kultu. I słońce, które wszystko prześwieśla, wszystko tłumaczy, wszystkiemu błogosławi. Słońce dionizyjskiej kultury, zapalone w piersi słowiańskiego pogrobowca romantyzmu, nieuleczalnego marzyciela, dziedzicznego rewolucjonisty, chronicznego spiskowca i charkowskiego studenta, przywykłego wszystkie sporne kwestje rozstrzygać „princypialno“.

„Tętent“ cwałującego przez pobjowisko rycerza, który po śmierci upomina się o swoje prawo do szczęścia.

Jakże ci duszno być musiało, zmysłowy greku, w podziemiach konspiracyjnej roboty, gdzie zamiast pełgającego kaganka przyświecał ci zwodniczym złotem kuszący warkocz Magdaleny!...

Czy był to szczęśliwie wybrany kłębek Arjadny po labiryntach współczesności? Czy nie skomplikował

on i bez tego wielofrontowej kampanji autora „W miłości i boju“?

Czy nie utrudnił temu dziecku słońca, marzącemu o rozkoszach z fresków pompejańskich, zamknięcia się w ramach partyjnej karności? Czy go w te ramy mocą własnego nakazu wtłaczając, nie otarł z puchu bezpośredniości, nie okaleczył i nie zesześcił?

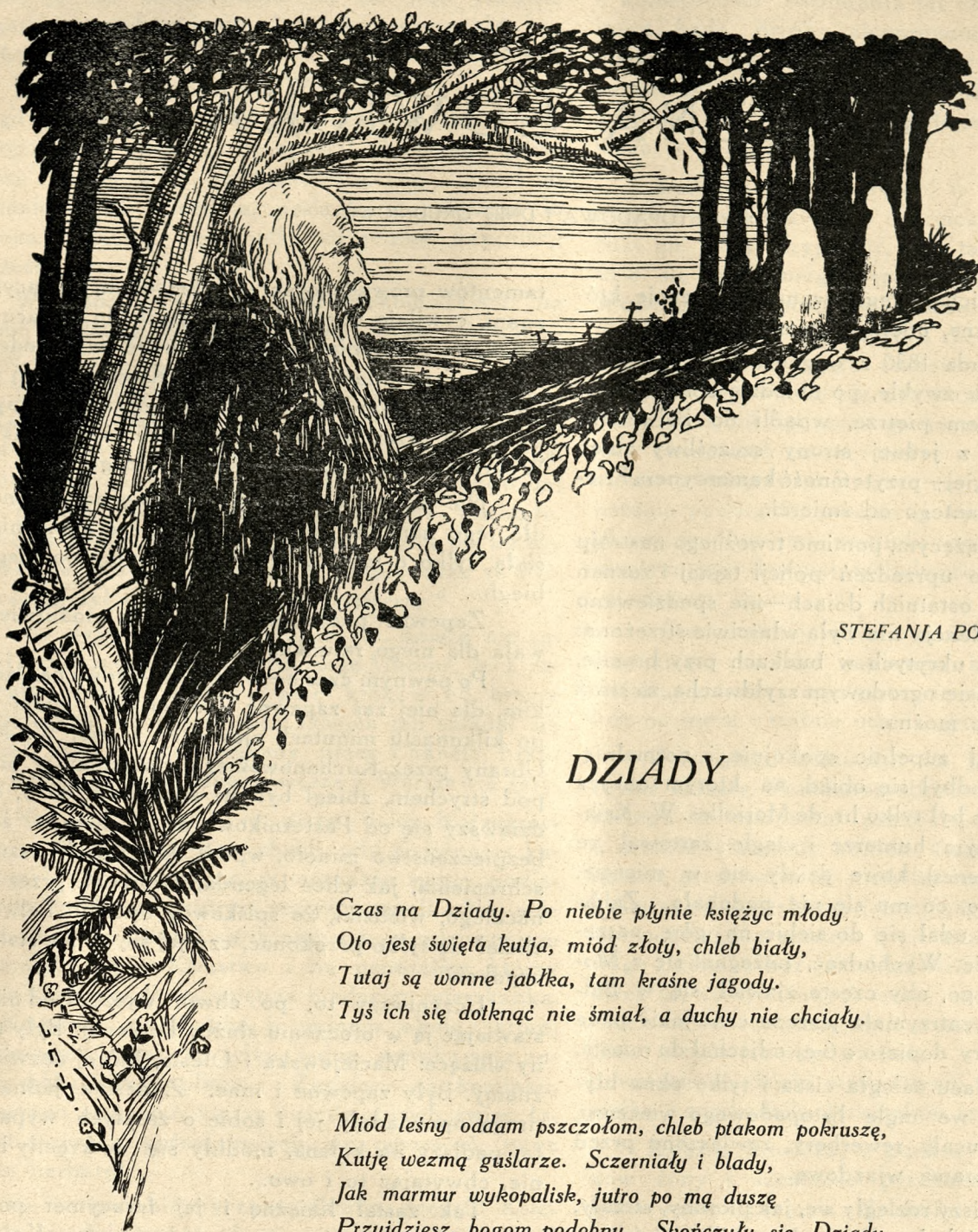
Trudno jest wydać jakikolwiek sąd w tej mierze, bo warunki bytu Daniłowskiego nigdy nie były takie ani materialnie, ani moralnie, aby dać mu możliwość całkowitego, swobodnego i skupionego w jednym kierunku rozwoju. Było to ciągle pasowanie się między polityką, a artystem; ani w jednej, ani w drugiej nie zdołał się nigdy wypowiedzieć bez reszty, jednej dla drugiego nie miał siły porzucić, a przecież nad temi dwiema namiętnościami górowała trzecia, najdespotyczniejsza z nich wszystkich: uroda życia. Tej, wiecznie młodej, kochance pozostał wierny na wszystkich zdobywanych placówkach i zatraconych reduktach swego życia, w oficjalnych momentach jawnego uzewnętrzniania się i w najtajniejszych zakamarkach ducha.

Tej drapieżnej, nienasyconej Astarte oddał w kornym hołdzie to, co poeta ma dla siebie najdroższego: marzenie o szczęściu! Zawsze za jakąś kratą, wiecznie za jakimś murem, czasem za szubienicą, lub bladym papierem wyroku—przyczajało się różowe, wiośniane, pachnące, jak kwiat migdału, sypiące mu aksamitne płatki na oczy. Przez tę kwietną chustę poeta patrzył na świat oczyma dziecka. Konspirator, „buntowuszczyk“, entuzjasta, szaleniec, potem legjonista — podchodził zawsze do życia z gołymi rękami, niepomyślny, że to najniebezpieczniejszy z automatów i nie uśmiechem się je zdobywa, ale żelazem.

Był zawsze, jak ten student ze swego wiersza p. t. „Samowar“. Z młodzieńczym zapalem i ufnością, tak łatwo splatającą się z byronizmem i zniechęceniem, odszedł tam, skąd się nie wraca i gdzie zapewne danem mu jest znaleźć odpowiedź na wszystkie: „dlaczego?“ i „poco?“.

Dziecko słońca, wydarte swej niebieskiej ojczyźnie, wróciło do macierzy.





STEFANJA PODHORSKA-OKOŁÓW

DZIADY

*Czas na Dziady. Po niebie płynie księżyc młody.
Oto jest święta kutja, miód złoty, chleb biały,
Tutaj są wonne jabłka, tam piękne jagody.
Tyś ich się dotknąć nie śmiał, a duchy nie chciały.*

*Miód leśny oddam pszczołom, chleb ptakom pokruszę,
Kutję wezmą guślarze. Szczerniały i blade,
Jak marmur wykopalisk, jutro po mą duszę
Przyjdiesz, bogom podobny. Skończyły się Dziady.*

*Nikt na mnie nie zawoła, nikt mnie nie obroni,
Żaden się proch zetlały w kształt nie ucieleśni,
Gdy przyjdiesz,— z nocą w oczach, z wieńcem gwiazd na skroni,—
Ciche, umarłe bóstwo mej ostatniej pieśni.*

ADAM CZARTKOWSKI

KSIĘŻNA ŁOWICKA

VI.

NOC LISTOPADOWA I DNE GRUDNIOWE

Wtem w tę cichą, uregulowaną egzystencję, którą tak lubiła Księżna, uderzył grom!

Dn. 29 listopada 1830 r. o godz. 7 m. 15 wiecz. gdy W. Książę, jak zwykle, po obiedzie spał w swym pokoju na pierwszym piętrze, wpadli do Belwederu spiskowcy, i tylko z jednej strony szczęśliwy zbieg okoliczności, z drugiej—przytomność kamerdynera Friesego ocaliły Konstantego od śmierci.

W pałacu książęcym, pomimo trwoźnego nastroju w mieście, pomimo uprzedzeń policji tajnej i zeznań zaarrestowanych w ostatnich dniach—nie spodziewano się niczego i rezydencja nie była właściwie strzeżona: starych inwalidów, ukrytych w budkach przy bramie, i stojącego na tarasie ogrodowym sztyldwacha, za straż przecie uważać nie można.

Dzień upłynął zupełnie spokojnie i normalnie. O zwykłej porze odbył się obiad, na którym oprócz Księstwa dnia tego był tylko hr. de Moriolles. W. Książę był w najlepszym humorze i ciągle żartował ze „świństw“ (*cochonneries*), które działy się w mieście. Tak zwał wszystko, co mu się nie podobało. Zabawiwszy czas jakiś, udał się do siebie na górę, narzekając na zmęczenie. Wychodząc, pożegnał się z Moriolles'em i prosił go, aby często zjawiał się w Belwederze. Księżna zatrzymała jeszcze czas jakiś pana Eksguwnera, który dopiero o 6-ej odjechał do miasta.

W całym pałacu zaległa cisza, i tylko okna błyskały tajemniczo we mgle listopadowego wieczoru, i mdłe światło rzucały rewerber, zawieszony przed pałacem i przed bramą wjazdową...

Wtem w tej ciszy rozległy się, jak pioruny, strzały, krzyki, tupot nóg i hałas. Potrwało to kilkanaście minut i ścichło, pozostawiając po sobie jednego trupa, paru pławiących się we krwi rannych, ślady zniszczenia w przedsionku i wstrząs w duszach mieszkańców Belwederu.

Księżna była wówczas u siebie, prawdopodobnie w salonie, w którym zwykle o tej porze pozostawała. Może haftowała, lub czytała. Schyloną nad robótką, czy książką, przestraszyły zapewne strzały, naprzód w ogrodzie, potem, za chwilę, w przedsionku pałacu. Zapewne zerwała się na równe nogi i starała się zdać sobie sprawę z tych dziwnych, a niespodziewanych odgłosów, gdy nagle wbiegł do niej przestraszony kamerfurjer Pasternikow, który w chwili napadu, jak zwykle, siedział w przedsionku u drzwi, do jej apar-

tamentów prowadzących — z krzykiem, że jacyś nieznani, cywilnie ubrani ludzie wpadli do pałacu, wystrzałami z karabinu strzaskali lustro w przedsionku i pognali schodami na górę—do Księcia. Dwaj z nich początkowo kierowali się do pokojów Księżny, ale odwołani przez przewodcę, pobiegli również na górę. Wykrzyknawszy to, stary sługa wybiegł.

Nie wiemy, co dalej robiła Księżna. Żadne źródło tego nam nie podaje. Zapewne o sobie nie myślała, tylko o mężu... Wszak napastnicy do niego pobiegli...

Zapewne padła na kolana i w modlitwie wzywała dla niego ratunku...

Po pewnym czasie—w rzeczywistości bardzo krótkim, dla niej zaś zapewne długim, jak wieki—może po kilkunastu minutach zjawił się u niej W. Książę. Ubrany przez Kochanowskiego pociemku w pokoiku pod strychem, zbiegł był już szybko na dół i, dowiedziawszy się od Pasternikowa na podwórzu, że niebezpieczeństwo minęło, wpadł do żony. Nie szukał tu schronienia, jak chce legenda, stworzona przez Mochackiego; wiedział, że spiskowcy opuścili Belweder—chciał się tylko przekonać, czy jej się co nie stało, i ją uspokoić.

Uczyniwszy to, po chwili wyszedł od niej, zostawiając ją w otoczeniu służby kobiecej. Były to panny służące: Maciejewska i Olesia, której nazwiska nie znamy. Były zapewne i inne. Zapewne jedna przed drugą opowiadały jej i sobie o zaszłych wypadkach; to, padłszy na kolana, modliły się, to kręciły bezładnie, chwytając to i owo...

Tak zastał Księżnę i jej fraucymer po kilku godzinach, już późno w nocy, komandor Kołzakow, który wreszcie przybył do W. Księcia z miasta i z polecenia jego udał się do Księżny.

„Zoczywszy ojca“ — pisze Kołzakow-syn — „W. Książę... rzekł:—Idź, znajdź Księżnę w jej pokojach. Twej ją polecam opiece. Odwieź ją, gdzie chcesz, byleby była w bezpiecznym miejscu!—Ojciec natychmiast udał się według rozkazu. Wszedłszy do pałacu, znalazł Księżnę Łowicką w jednej z sal, otoczoną jej fraucymerem. Była blada, jak śmierć, wargi jej drżały, a cała postać zdradzała głębokie wzruszenie.

Ojciec zakomunikował jej polecenie Księcia, na co ona odpowiedziała, że za nic nie zgodzi się na rozstanie z mężem. Naprawdę mój ojciec starał się na-

mówić ją do zastosowania się do woli Księcia: wszystkie przedstawienia i namowy pozostały bez skutku.

Wreszcie powrócił do W. Księcia i zawiadomił go o decyzji Księżny. Jednocześnie mój ojciec zaproponował Księciu, by opuścił Belweder, gdzie wojsku trudno było skoncentrować się, i prosił go o udanie się do Wierzbna, posiadłości, należącej do Mittona, ojczyzna mej matki, urzędnika kancelarii księżęcej.

Wierzbno leży przy polu Mokotowskim, na którym oddziały wojskowe łatwo mogą się rozstawiać.

Tę radę poparli inni generałowie, dzięki czemu W. Książę, po pewnym wahaniu, zgodził się na nią i nakazał kawalerji rozpocząć pochód, strzelcy zaś piesi i konni, pod dowództwem gen. Dannenberga, powinni byli pozostać w Alejach i osłaniać tyły pochodu. Wówczas Księżna wyszła z pałacu, siadła do karety i pojechała zaraz za ułanami. W. Książę wraz ze swiątą towarzyszył jej. Za nimi szli kirasjerzy.

Gdy dojechano do Wierzbna, W. Książę nie zechciał udać się do domu mieszkalnego Mittona, lecz zajął mały domek, stojący o parę kroków od bramy wjazdowej do tej posiadłości. Domek ten składał się z trzech izb i był zamieszany przez Chanela, Francuza, wyrabiającego znane wówczas w Warszawie sery.

„Noc była ciemna” — pisze dalej Kołzakowsyn — „i kropił deszcz w chwili, gdy Księżna w karecie, a W. Książę konno, w otoczeniu świty, podjechali do domku, w którym wszyscy spali. Na stukanie do drzwi ukazał się Francuz i ze zdziwieniem spoziierał na oboje Księstwo i na generałów, którzy wraz z nimi weszli do wnętrza biednego mieszkanca.

Księstwo zajęli izbę o jednym oknie, której umeblowanie stanowiła tylko jedna szeroka sofa turecka, stół i kilka stołków... Zapalono na kominku, nastawiono samowar, i przy świetle dwóch świec łojowych wysocy goście zaczęli się ogrzewać, pijąc gorącą herbatę“...

Tu, w tym historycznym domku, spędzili Księstwo pięć dni, bo aż do 4 grudnia. Tu widywał ich Władysław Zamoyski, który odegrał tak ważną rolę w owych dniach, przekonawszy Konstantego

o konieczności zwolnienia tej części wojsk polskich, która, bądź dzięki nieporozumieniu, bądź dzięki niewciągnięciu przez spiskowców do powstania, pozostała przy nim, i napisania słynnego listu z dn. 3 grudnia. Tu też przyjęli delegację Rządu Narodowego w dn. 2 grudnia.

Zachowanie się Księżnej w tych dniach grudniowych było dziwnie energiczne i zdecydowane. Nikt nie mógł przypuścić, że w tak mdłym ciele znajdzie się tyle energii, tyle sił, tyle konsekwencji. Wówczas, gdy Konstanty, zmieszany, zdezorientowany, nie może zdobyć się na czyn męski — ona jest pełna werwy, wyraźne zajęła stanowisko i, gdyby od niej zależało, napewno by się nie wahała. Jest stale przy boku męża, nie opuszcza go ani na chwilę, we wszystkich rozmowach czynny bierze udział. Czy to w rozmowie z delegatami Rządu, czy to z Zamoyskim — potępia powstanie, potępia je wprost w oczy ludzi, którzy, według niej, zawinili; przemawia tonem wyniosłym, gdy dawniej, w Belwederze, używała zwykle „słodkawej“ mowy.

Do ostatniej chwili przeciwdziała radom Zamoyskiego, co do napisania listu, zwalnającego wojsko polskie; orientuje się znakomicie w położeniu męża i trafnie ocenia sytuację.

Z wrogiego stosunku do powstania trudno jej czynić zarzuty. Przedewszystkiem — kochała męża, dla którego te wszystkie przejścia były nader ciężkie, a zarazem stanowiły koniec kariery; następnie była ideową przeciwniczką nie tylko rewolucji wogóle, ale i zburzenia dotychczas istniejącego w Królestwie Polskim porządku rzeczy. I, co ważniejsza, miała odwagę dobitnie, bez jakichkolwiek ogródek, wypowiedzieć to, co tyle innych osób, stojących na najwyższych nawet rewolucyjnych stanowiskach, czuło i myślało, a bało się wypowiadać — i stanawszy na czele powstania — dzięki wewnętrznej rozterce — osłabiło walkę i zaszkodziło śmiertelnie sprawie narodowej.

Księżna Łowicka, z punktu widzenia obowiązków żony i szczerości przekonań, może być za to tylko wysoce ceniona. Spełniła to, co jej spełnić należało, i niewątpliwie w tem spełnieniu obowiązku kryje się tajemnica tej siły, którą w tych, dla jej męża fatalnych, dniach grudniowych wykazała. (c. d. n)



MAX WIT

1.

PROFESOR

Mętnemi, blademi oczami zmierzył zmieszana, zapłonioną dziewczynę, opartą o długi, czarny stół. Kobieta w pracowni! — Zapowiadał Mikołajowi, aby nie wpuszczał bez meldowania, ale stary zawsze naopak, głupiec!

— Słucham Panią — rzucił niechętnie, nerwowo odpychając mikroskop.

Wywrócił szklanę z jakimś czerwonym płynem. Krwią spłynął czarny roboczy stół, zapchany szkłem, butelkami, kolbami — całym arsenałem słoii napęczniałych i smukłych. Zamiast odpowiedzi, chwyciła szmatę ze stołka i zaczęła starannie wycierać rozplywający się barwnik. Plama. Zdawało się, że dlatego tylko przyszła, że o tę plamę właściwie chodziło — była treścią jej sprawy do profesora.

Prawie wściekły, wydlubywał zlewkę z pomiędzy szczelnie lgnących do niej porcelanowych waniek; mazał tymczasem niemiłosernie ręce, wreszcie oślizgłe naczynie postawił na właściwe miejsce. Z zakłopotaniem przyglądał się ubabranym na czerwono palcom. Ręcznik. Otóż to: ręcznikiem właśnie zacięła plamę. Spokojny uśmiech zapobiegliwej gospozi zakwitł gdzieś w wygięciach świeżych ust, w drobnych dołeczkach morelowych policzków.

To było nadzwyczajne: weszła przecież na chwilę, w rezultacie—rewolucja. Plamy, rozbite naczynie, przerwana ważna obserwacja „Glistnicy robaczkowej“, ręce po rzeźniku ubabrane w barwniku, a ręcznikiem ta mała spokojnie wyciera stół.

— Przepraszam za tyle kłopotów,—to przezemnie, nie wiedziałam, że Pan profesor zajęty...

— Obrzydliwy!—myślała cichuteńko, kradnąc ukosnym spojrzeniem jego niezadowoloną, kwaśną i głupią minę. Mruczał w odpowiedzi niezrozumiale, miało to prawdopodobnie znaczyć:

— Proszę się nie krępować; to drobnostka, nie ma nieszczęścia, zdarzają się gorsze rzeczy, np. stężony kwas siarkowy... bywa, bywa, ale mniejsza z tem...

Wiedziała. Takby z pewnością odpowiedział każdy ze znanych profesorów, ale on?! Miał, niestety, ustaloną sławę. Kobieta, rzecz wiadoma, nie mogła się spodziewać niczego dobrego. Gbur! Wiedziała o tem doskonale, a jednak, gdy przeczytała na tablicy uniwersyteckiej ogłoszenie: „Zoolog, rysownik, zechce się porozumieć z profesorem N. w godzinach urzędowych“—zdecydowała się odrazu. Była zoologiem, rysowała doskonale. Pójdzie, niech się dzieje, co chce! Nie lubi kobiet, rzecz znana, ale ogłoszenie odnosiło się do wszystkich. Była najzupełniej w porządku.

— Słucham Panią! — rzucił znowu twardo przez stół. Miała przygotowaną odpowiedź, ale nie poszło to łatwo. Krztusiła...

— Ogłoszenie... Ja właśnie... tak jest... słucham zoologii, rysuję... rysuję wcale dobrze, więc zgłaszam się... Spojrzała na nią z politowaniem, jak na nieszczęśliwą, okaleczoną istotę, i wycedził kęsliwie:

— Pani zgłasza się do pracy, nie czytając porządnie, com napisał. Przypominam więc: Zoolog i rysownik i t. d.,—nie odnosi się to chyba do Pani. Zoolog i rysownik są rodzaju męskiego, przecież jasne.

W tej chwili był zadowolony z siebie. Smarkata!

Ale smarkata oprzytomniała, uderzyła weń jasnością oczu i wyrecytowała jednym tchem:

— Sądziłam, że w nauce i zdolnościach pleć nie ma nic do powiedzenia. Studjuję zoologię—jestem zoologiem, dobrze rysuję — jestem rysownikiem. Czy może zostałam wyprzedzona, wyprzedzona przez kogoś innego?

— Nie! — Połapał się w tej chwili, że należało skłamać, ale stało się. Triumfowała:

— Więc mam pierwszeństwo! kiedy mogę zgłosić się do próby?

Zbiła go z tropu. Faktycznie miała słuszność. Wyrzec się próby nie można, ale był spokojny: wiedział, że nie wywiąże się z zadania. Kobieta! — to wystarczało; samo przez się słowo znaczyło: nieudolność, bezmyślność, ślamazarność, lub kokieterję, puder, perfumy, grzebienie,—tylko nie nauka. Owszem, zgodzi się: przyrodnik nie cofa się przed eksperymentem.

— Nie mogę odrzucić, ani przyjąć oferty bez tego; proszę przyjść jutro o 8-ej rano.

— Spóźni się,—pomyślał złośliwie;—zanim taka sroka się wyfiokuje, można zbadać cykl rozwojowy chrabąszcza. Jeśli się spóźni, nie mam zobowiązań: pracownik musi być punktualny.

Cieszył się tą ósmą. Niewątpliwie się spóźni.

Dygnęła wdzięcznie. Wysunęła się tak cicho, jak przyszła. Stuknęła klamką. Poszła.

Wytrzeł ręce i przysunął mikroskop. Zamiast „glistnicy“ uśmiechnęła się w czarnym tubusie twarz dziewczyny, jutrzejszej współpracownicy, która z pewnością się spóźni i będzie do niczego. Jutrzejsza klęska była przesądzona.

— Zoolog, — myślał z przekąsem. — Pijawka, samiczka, homo sapiens, dziwnie nie pasuje ta nazwa do niewiast. Np., niewiasta: jest w tem słowie pierwiastek niewiedzy, zacofania, ciemnoty; przeciwnieństwo wiedzy, postępu, jasności.—Tą zabawą w słowo

wa odpychał wzrastające poczucie niezadowolenia z przykrości jutrzejszego dnia.

Mimowoli lustrował swój obszerny gabinet-pracownię, zastawioną płaskimi szafami, wypełnionemi ciężarem opasyłych tomów. Ślizgał się po precyzyjnych ostrzach lśniących mikrotomów, opalowych osłonach wianien porcelanowych, niklowanych szubienicach statywów, azbestowych pająkach siatek ochronnych nad miedzianymi czubami Bunzenowskich palników. Lepił miłośnie wzrok do baterji różnobarwnych roztworów, zamkniętych w kryształowych, lśniących butelkach. Błądził po stołach, zawalonych preparatami, szukał miejsca na nowy okaz.

— Gdzie ją posadzę?... Tam przy oknie, chyba nie. Mikołaj twierdzi, że wieje. Może przy małym stoliczku? I tam nie: za niski, trudno rysować. Chyba po drugiej stronie mego biurka?... jest przecież ogromne; tak będzie najlepiej: przy rysunkach podeprzeć rękę, to grunt. Dobrze.

Wyobraził ją sobie po tamtej stronie.—Miejsce dla rysownika,—usprawiedliwiał się przed sobą, — dziewczyna i tak będzie do niczego.—Ze zdziwieniem jednak stwierdził, że myślenie o niej bynajmniej nie razi go. Zresztą plamę na stole wytarła wcale zrećźnie, po gospodarsku, bez zarzutu.

— Owszem, garnki zmywać potrafią,—przyznawał, ale jego asystent Jeżowicz zdziwiłby się niepomierne: wszak przed samym wyjazdem do Afryki słyszał, jak profesor, podczas dyskusji z anatemem i botanikiem, twierdził nieustępliwie, że kobieta prócz rodzenia i flirtu nic nie robi dostatecznie. Jeżowicz jednak nie mógł o tem wiedzieć, i nikt się nie dziwił prócz samego profesora.

Zadzwonił na Mikołaja. Bezzębny staruszek, odwieczny pedel, stanął zgarbiony we drzwiach:

— Pan Psor?

— Kto wam kazał kobiety... do pracowni?... zapowiadałem, żeby mi bab nie wpuszczać, gdy pracuję!

— Dyc nie pytała, sama bez nijakiego meldowania...

— Jutro tu przyjdzie o 8-ej do roboty; wyznaczam jej to miejsce przy końcu stołu. Przysuńcie ten śrubowy stołek, zabierzcie ręcznik, wylałem fuksynę... Wyglądało to, jak usprawiedliwienie przed starym, który mełł coś bezzębnymi wargami, z pytaniem na orzechowej, zgrubiałej twarzy.

— Sprzątać tutaj potrzeba. Stół wymyć. Wychoďte.

Włożył stary kapelusz z obszernymi kresami. Ściągnął zwiotczałe mięśnie pod obwisłą marynarką i głęboko wciągnął powietrze. Wiosna. Należy zebrać zabi skrzek do akwarjum. W zeszłym roku

Jeżowicz przeoczył — lekkoduch. Uśmiechnął się. Cenił swego asystenta, młodego, miłego chłopca, któremu w życiu wszystko się udawało, począwszy od ciekawej [pracy doktorskiej, kończąc na zalotach studentek w pracowniach, gdzie prowadził ćwiczenia. Tę zresztą ostatnią zaletę potępiał w nim najoczywiściej. Nie przeszkadzało to jednak Jeżowiczowi. Umiał pracować i, mimo rosnącej młodej sławy, szanować znaczenie i powagę profesora. Uczony uczuł, że tęskni: miał dla tego chłopaka sentyment.—Mógłby stanowczo już wrócić. — Zatrzymał się przed szafką, ogłoszeniową. Machinalnie dobył z kieszeni kluczyk Otworzył. Paznokciem podważył pluskiewki, raz, dwa, — zmiętą kartkę opuścił na ziemię. Zamknął starannie szafę i powoli, powoli szedł między filarami westybulu.

— Właściwie nie trzeba było jeszcze zabierać: z pewnością moja kandydatka niewiele potrafi...—

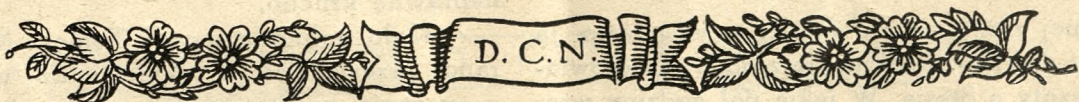
Zatrzymał się z rozmysłem i wahaniem, obrócił się nawet raz na pięcie i szybkim, zdecydowanym krokiem opuścił uniwersytecki korytarz.

Nie był przecież uspokojony zupełnie, zwalniał i przyspieszał; dopiero, gdy wyszedł za bramę, przestał myśleć o całym kramie, jak nazwał dzisiejsze zdarzenie, i wrócił do przerwanych rzeczowych rozważań o „glistnicy robaczkowej“. Ostatecznie, była jedynie ważną: — najnowsza i najlepsza praca, jaką ogłosi.

II

Przed ósmą był w pracowni, jak zawsze. Najbardziej kochał te ciche, ranne godziny świeżej pracy. Odrazu zaczynał od korekt, przeglądania nadesłanych odbitek prac uniwersytetów zagranicznych. Szybko przebiegał tytuły, nazwiska ciasnych specjalistów — gwiazd naukowych. Oznaczał grubym, czerwonym ołówkiem rzeczy ważniejsze do przeczytania. Tu i tam rozcinał szybkim, wprawnym ruchem stronicę, przesłizgiwał po wierszach i odkładał na stronę. Dla Jeżowicza — zreferuje; te dwie należy omówić w seminarjum, a ta powinna być wymieniona na wykładzie. Utonął cały w zwykłych, codziennych porannych rozmyślaniach, związanych z temi strzępami papierowemi faktów, obserwacyj, notatek, z których budował cały zwarty, skomplikowany gmach wiedzy. Uwzględniał rozplanowanie własnej pracy, uśmiechał się na widok polemicznego artykułu lipskiego profesora, który krytykował jego rozprawę nad Brozdogłowcami, podkreślił dwa zjadliwe zdania i stylizował ciętą notatkę odpowiedzi.

Pukanie we drzwi. Wzdrygnął się. Cały nastrój skupionej, wyteżonej uwagi pierzchnął nagle, spłoszony tym cichym, bezdźwięcznym stukiem.



W. MIŁASZEWSKA

18

KACZĘTA

(powieść)

11 listopada.

Co się dzieje, co się dzieje! Tylko dlatego siedziałam dziś do dziennika, żeby czemś przytłumić niepokój o Stasia. Od szóstej rano do tej chwili niema go, a serce mi z trwogi zamiera.

Teofil spokojny — ale żeby Teofil wiedział, co ja wiem... Chryste Panie, Chryste Panie! Miej Stasia w swojej opiece, Matko Najświętsza! A na ulicach ciągle strzelanina! Zrzadka, ale ciągle... Jezu kochany! Bo też to trzeba mieć odwagę. Takie dzieciuchy, tacy smarkacze, z gołemi pięściami porwali się...

Teraz sobie dobrze przypomniałam te kłótnie Stasia z Teofilem wczasy wakacyj:

— Ciekaw jestem — powiada Teofil — czem ich rozbroicie? Gołemi pięściami?

— A chociażby nawet! Zresztą, ojciec myśli, że u nas broni pochowanej niema?

— A właśnie! Trzy karabiny z defektami, dwadzieścia noży kuchennych i jeden nabój dum-dum, znalezione w okopach!

Teofil sobie zażartował, ale Stasia dopiekło do żywego.

— Ojciec się nie interesuje ruchem młodzieży, to ojciec nie może mieć pojęcia, jak my jesteśmy zorganizowani! A ja ojcu powtarzam, że Niemców rozbroimy i ojciec będzie tego świadkiem!

Właśnie ich Staś rozbraja od rana, jestem tego pewna!

O wpół do szóstej, może nawet i wcześniej, posłyszałam chłupotanie w łazience. Poszłam zobaczyć, co to takiego. Myślałam, że może kurek niedokręcony — a to Staś się mył. W pół godziny potem wybiegł z domu, na śniadanie zaczekać nie chciał. Powiedział mi tylko, że się śpieszy, bo ma naznaczony termin spotkania z kolegami.

Wróciłam przez gabinet, patrzę — a tu kluczyki wiszą przy skrzyni. Coś mi tknęło — otwieram, szukam... Chryste Panie! Ta jedna kulka rewolwerowa powiedziała mi wszystko!... Staś w skrzyni Teofilowej broń ukrywał, a teraz ją zabrał ze sobą!

Wróciłam do swego pokoju, jak pijana, bo czułam w powietrzu nieszczęście... Żeby tylko nie wymówiła w złą godzinę! Stasia niema dotychczas, a już północ dochodzi... Śniadania też napewno nie jadł, ani obiadu...

O siódmej zrana poszła Walerka na miasto. Ja się ruszyć nie mogłam. Nogi mi się zrobiły jak ołowiane z tej zgryzoty o Stasia. W jakie pół godziny wra-

ca Walerka: mięsa nie dostała, mleka nie dostała, ale za to, co za nowiny przyniosła!

— Proszę pani! Proszę pani! — krzyczała już od progu, że w całym domu było słyhać — proszę pani, co się to dzieje! Niemców na ulicy rozbrajają!

— Kto? — pytam

— Ano nasi, polacy!

— W Imię Ojca i Syna! Co ty gadasz, Walerko?!

— Prawdę gadam. Przekona się pani! Nasze wojsko zdobyło koszary, Niemcom broń odebrali, a teraz tłum po ulicy chodzi i co Niemca zobaczy, to zaraz na niego, a Niemiec ręce do góry i karabin z własnej woli oddaje... Oj, co się dzieje! Polska kawalerja ulicami rozjeżdża, a Niemcy w strachu, nosa wytknąć się boją... Podobno się w ratuszu zamknęły największe dygnitarze niemieckie, ale stróż powiada, że nasi i na ratusz pójda!

Posłyszała i Adelfia krzyki, przybiegła do jadalni w szlafrocisku. Musiała Walerka trzy razy opowiadać wszysciuteńko, bo i Teofil nadszedł, i Marek przez drzwi wołał, co takiego?

Adelfia zaraz pobiegła się ubierać, a w pół godziny staje we drzwiach, gotawa do wyjścia.

— Idę na miasto — powiada — zobaczyć, co się dzieje.

— Ani mi się waź! — krzyknął na nią Teofil tak ostro, że aż ja się zdumiałam.

— Ojczusiu, ojczusiu! Przecież to Niemców rozbrajają! Niemców! Przecież ja...

— Żebyś nawet nie myślała o tem! Awantury na ulicach, strzelanina, a tej się spacerów zachciało! Niech Justysia pamięta, żeby Adelfka nie ruszyła się z domu, aż pozwolę!

— Proszę Teofila — mówię — a Staś?

— Co znowu Staś?

— Bo Staś raniutko wyszedł, nie wiem dokąd. Zmarszczył się Teofil.

— Staś chłopak, da sobie radę. A to wszystko, zresztą, Justynki wina — zachnął się nagle — to Justynka dzieci rozpuściła, a teraz są tego skutki! Jak będą przykrości z racji Stasia, albo jakie śledztwo, to Justynki sprawa, nie moja!

Jeszcze Teofil nie wierzył, że Niemcy uciekają z Warszawy. A ja w duchu wierzę i czuję, że to już koniec ich panowania. Jak takie dzieciuchy, gołowasy, karabiny im odbierają — to już widać z Niemcami naprawdę krucho.

Koło południa wpadł Tomek. Marek, który całe rano przesiedział w oknie i aż wypieków dostał z wrażenia, zaraz przyskoczył do niego:

— Co, Tomku, na mieście, co?

— Ano nic, smyku. Niemcy bez broni chodzą, czerwone kokardy przypinali na znak, że przystąpili do rad żołnierskich... A nasz kochany tłumek hula sobie, niemieckimi furgonami jeździ! Heca! Gdzie ojciec?

— Poszedł do składu — mówię; — a Stasia nie spotkałeś przypadkiem?

— Ja, nie. Ale tam się napewno uwija, gdzie najgoręcej. To się ojciec będzie wściekał, jak zobaczy, że ten smyk jota w jotę przepowiedział wszystko, co będzie...

Wzięłam się na odwagę i powiadam Tomkowi do ucha:

— Staś miał broń schowaną. Zabrał ją z sobą na miasto.

— Phi! A to mi nowina! Cóż to, ciocia dziś na świat przyszła? Przecież oni wszyscy pełno broni mieli poukrywanej. Nawet do mnie Staś przyniósł pudełko z nabojami na przechowanie. Stało to sobie na piecu przez całe lato i o mało nieszczęścia z tego nie było, bo służącemu przyszło do głowy napalić... W porę przypomniałem sobie ten Stasiowy depozyt.

— I... ty trzymałeś naboje u siebie w domu? Rewizji się nie bałeś?!

— Rewizji? Pewnie, zęb się bał. Ale cóż robić. Zresztą, moja ciociu, rewizje też różne bywają — u mnieby z pewnością czego innego szukali, nie broni...

Powiedziałam tedy Tomkowi w wielkim sekrecie, że Staś broń i naboje w skrzyni ojca chował, bo już wytrzymać nie mogłam, żeby Stasia nie pochwalić przed bratem, że taki dzielny patryjota!

Dopiero się Tomek zaczął śmiać, jak szalony.

— Hahaha! Hahaha! Znakomity kawał! Hahaha! W szmuglu—szmugiel! Toby dopiero ojciec miał minę! No, niech mu ciocia aby nie wspomina o tem. Mnie—można, ale ojcu—nie radzę: dopiero byłaby chryja!

Pocziwy Tomek. Oni wszyscy mają pocziwe serca, już ja to wiem! Staś na Tomka nieraz narzeka, że paskarz — ale trudno się znów Tomkowi dziwić. Ma żyłkę do handlu, ma od dzieciństwa. Jeszcze jak był w szkole, wiecznie urządzał jakieś związki filatelistów, jakieś kupna, jakieś zamiany, i często zarobił kilka groszy... Ale jestem pewna, że i teraz swoje interesy uczciwie prowadzi.

Już po pierwszej, a Stasia jak niema, tak niema! Żeby chociaż dał znać przez kogo! Trzeba być bez serca, żeby mnie w takiej niepewności zostawić... Ale co też ja plotę! A bo to Staś ma czas, żeby listy pisać, czy co takiego?

A jeżeli mu się co stało? Walerka powiada, że niemcy grzeczni, ale jak który może niepostrzeżenie z za węgła strzelić, to bez wahania strzeli... Matko Boska, miej Stasia w swojej opiece!...

Z Adelką też będzie kłopot. Calutki dzień chodziła nadąsana, a przy kolacji powiedziała ojcu stanowczo, że już jutro, „żeby tam nie wiem co!” wyjdzie zobaczyć, jak Warszawa wygląda:

— Ojciec zupełnie nie odczuwa, jakie my chwile przeżywamy! Przecież dzisiejszy dzień w historii będzie zapisany, nasze dzieci uczyć się tego będą, a ojciec chce, żebym ja w domu siedziała, nie wiedząc, co się dzieje!

Patrzcie, patrzcie! Sama się tej historii nie chciała uczyć, jak chodziła na pensję, a teraz ojcu własnymi dziećmi wygraża, ta smarkata! I jak ona zaraz szumne frazesy układa! Już to Adelka ma dziwny dar, żeby w każdej okoliczności siebie na pierwszy plan wystawić. Ot, i dziś.. Stasia niema, niewiadomo, co się z nim dzieje, a siostrzyczka tylko o tem myśli, że jej się krzywda stała...

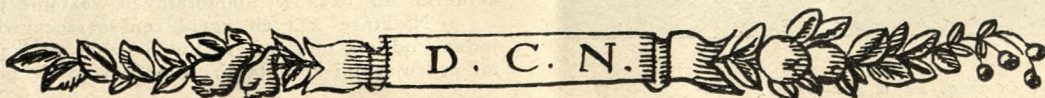
A wszystkiemu właściwie winna ta głupia Walerka! Jej nikt z domu wychodzić nie broni, więc co moment lata nadół do stróża i stamtąd tyle nowin znosi, że aż się w głowie mąci... Jużbym jej nieraz kazała milczeć i swoje w kuchni robić, ale cwana baba dobrze wie, że dzisiaj wszystko na opak w domu idzie, więc sobie używa, ile wlezie. Na obiad były kluski i na kolację zacierki, bośmy tylko mąkę w domu mieli. Tośmy się nawet tych klusek doczekać nie mogli. Spóźniła obiad o godzinę, tak z kumoszkami rajcuje!

Od niej się także dowiedziałam, że nasz stróż niemców z innymi rozbijał. A jakże! Samochód wojskowy zatrzymał do spółki z bratem żony. Powiada niemcom: „raus!” — i niemcy zlazły pokornie, chociaż tam był z nimi oficer! Zaczął się tedy stróż ze szwagrem naradzać, jakby tę maszynę z miejsca ruszyć, ale nie dali rady. I patrzcie: poszli po rozum do głowy! Przywołali szofera z powrotem:

— Zawieziesz nas — powiada stróż — do koszar. Nach koszaży. Fersztejen?

Szofer im kiwnął głową, że rozumie, i pojechali; samochód zostawili w koszarach, a nasz Antoni tak się podobno rozochocił, że poszedł innych niemców po mieście szukać i do tej pory strasznie się na nich odgraża, a wódką od niego—tak powiada Walerka — na dziesięć kroków zalatuje.

Łaska Boska, że domu nie okradli, bo dla złodzieja trudno o lepszą sposobność, jak kiedy wszyscy latają po mieście i nikt swojej roboty nie pilnuje.



Kobieta w świecie i w domu

KOBIETY ZWOŁUJĄ KONFERENCJĘ POKOJOWĄ

W dniach od 17 — 19 listopada r. b. odbędzie się w Amsterdamie konferencja pokojowa, zwołana przez komisję pokojową Międzynarodowej Ligi równouprawnienia kobiet. W konferencji wezmą udział przedstawiciele Ligi Narodów i wybitne osobistości polityczne. N. J.

ZLOT MŁODYCH KOBIET W KOŚCIANIE

Stowarzyszenia i organizacje kobiece w Polsce, w bieżącym sezonie jesiennym zaczęły już przejawiać bardzo ożywioną działalność.

Z różnych stron kraju dochodzą nas wieści o Zjazdach kobiecych Stowarzyszeń. Dnia 25 września r.b. odbył się w Kościanie zlot młodych kobiet, na który przybyła imponująca liczba 800 druhen.

Mimo pochmurnej pogody, miasto od samego rana zawrzało życiem i gwarem młodych głosów.

Podczas Mszy Św., którą rozpoczęto uroczystość, kościół parafjalny z trudem pomieścił zastępy publiczności i uczestniczek Zlotu. Podniosłe kazanie, zastosowane do uroczystości, wygłosił dyrektor Związku ks. proboszcz Szulc.

Po nabożeństwie tłumne zastępy druhen w mundurach predefilowały przez miasto, poczem zgromadziły się w sali hotelu Warszawskiego. Przewodnictwo Zlotu objęła pani Wanda Chłapowska, niestrudzona rzeczniczka ruchu młodych polek.

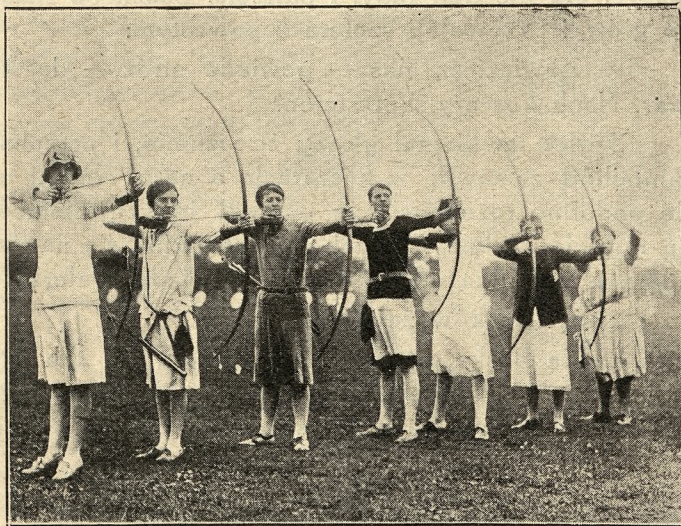
Po zagajeniu zebrania przez ks. Stróżewskiego, pani Ozdowska z Poznania wygłosiła referat pod tytułem „Wiano młodej polki“, oraz ks. kanonik Szulc mówił o „naszych ideałach“. Obie pogadanki cechowało głębokie uczucie religijne i podniosła miłość ojczyzny, oraz chęć zaszczepienia najczystszych ideałów i dążeń w sercach zgromadzonych słuchaczek.

Po skończeniu referatu odbyło się amatorskie przedstawienie, złożone z koncertu, deklamacji i gry na mandolinach.

Dzięki ofiarnej uprzejmości Cukrowni w Kościanie, oraz pracy miejscowego komitetu, zdołano pomieścić w wielkiej hali cukrowni 800 uczestniczek Zjazdu i przygotować dla nich trzykrotny posiłek. R. C. H.

WSPÓŁCZESNE AMAZONKI

Żaden rodzaj sportu, żadna umiejętność nie ma już tajemnic dla współczesnej kobiety. Dzisiejsze dziewczęta pływają, szoferują, kierują samolotami, ćwiczą się w lekkiej atletyce. Ich energia życiowa, zdrowie, zręczność szukają sobie coraz to innego ujścia.



Panie, ćwiczące się w strzelaniu z łuku

Każdy rodzaj ćwiczeń, każda sposobność ruchu na świeżym powietrzu pociąga je i napełnia radością.

Obok nowoczesnych sportów, jak gry ruchowe, automobilizm, i t. p. amerykańskie kobiece towarzystwa sportowe organizują również kursy strzelania z łuku.

Fotografia niniejsza przedstawia grupę zawodniczek, stojących do konkursu strzelania z tego archaicznego rodzaju broni w Cambridge, w Stanach Zjednocz. Należy przyznać, że ten zespół młodych, zgrabnych amazonek nowoczesnych na tle zieleni przedstawia się malowniczo i pociągająco. R. C. H.

ZJAZD KOBIET W GNIEŹNIE

Ludność wiejska Rzeczypospolitej, szczególnie na zachodnich rubieżach, uświadamia sobie coraz bardziej potrzebę oświaty, a w związku z tem znaczenie stosowania nowych metod pracy na roli i koło gospodarstwa.

Dążności te ujawniają się w organizowaniu coraz liczniejszych kooperatyw i kółek włościańskich.

Celem propagandy dla szerzenia potrzeby powstawania takich kółek, dnia 21 września w Gnieźnie odbył się zjazd kobiet z całego starostwa.

Zjazd rozpoczął się uroczystą mszą świętą, odprawioną przez ks. kapelana Łukowskiego w kościele św. Wawrzyńca.

Pomimo zimna i niepogody, panie ziemianki, jak również włościanki, zjechały się bardzo licznie.

Obrazy zagałiła pani Nieniewska z Cielimowa, zapraszając do stołu prezydjalnego panią starościcę Łysowską i kilka pań ziemianek z okolicy Gniezna.

W przemówieniu swem pani Nieniewska stwierdziła, że celem pierwszego zjazdu jest wzajemne zapoznanie się i propagowanie idei współpracy ideowej włościanek. Mówczyni oznajmiła obecnym, że na miesiące styczeń i luty przybędzie do Gniezna instruktorka, panna Hulanicka, która wygłaszać będzie we wszystkich kółkach starostwa, dokąd się ją zaprosi, wykłady z dziedziny higieny, ogrodnictwa, gotowania i t. d., a również urządzać będzie kursy praktyczne dla dziewcząt.

Drugi z kolei referat wygłosiła pani Rzepecka z Poznania. Wykład jej, wypowiedziany z wielką swadą, wywarł ogromne wrażenie na słuchaczkach. Prelegentka przedstawiła obecnym przyczyny obniżania się poziomu obyczajów w naszych czasach, podała szczegółową analizę duszy dziecka, rady a także wskazówki, jak urabiać dusze młodzieńcze, aby je uchronić przed zepsuciem. W końcu mówczyni roztoczyła przed słuchaczkami obraz skutków rozluźnienia moralności, poruszając szczególnie wpływ matek na przyszłe pokolenie.

Z powodu nieprzybycia zapowiedzianych prelegentów z Wielkopolskiej Izby Rolniczej, musiano zrezygnować z dalszych referatów.

O godzinie 4 popołudniu uczestniczki zjazdu, pod przewodnictwem ks. kanonika Krzeszkiewicza, zwiedziły katedrę, poczem udały się do „Wenecji“ na kawę, urządzoną staraniem okolicznych ziemianek.

Pierwszy ten zjazd kobiet starostwa gnieźnieńskiego przyczyni się niewątpliwie do ożywienia kulturalnego życia nowych kółek włościanek. Zjazd taki postanowiono urządzać corocznie, aby w ten sposób mieć, od czasu do czasu, generalny przegląd dokonanej pracy. R. C. H.

OPIEKA NAD KOBIETĄ W BIAŁOGRODZIE

W stolicy Jugosławji władze rozciągnęły baczną opiekę nad młodemi pracującymi kobietami.

W mieście tem niewolno jest przyjąć do służby kobiety, liczącej mniej, niż 30 lat, o ile nie jest ona zamężna, lub nie posiada od policji zaświadczenia o moralnym prowadzeniu się. Ten ostatni zakaz szczególnie dotyczy służby u kawalerów i młodych wdowców.

O pracy kelnerek zostały wydane również specjalne przepisy. Za każdym razem zgodzenia do służby nowej kelnerki, wymagane jest pozwolenie policyjne, przyczem niewolno jest przetrzymywać kelnerkę w lokalu dłużej, niż do północy. Zabronione jest też dawać im mieszkanie w tym samym domu, w którym mieści się restauracja, lub też w najbliższym jej otoczeniu.

Kelnerkom niewolno jest przysiąść się do stolików gości oraz pić w godzinach pracy jakichkolwiek napojów alkoholowych. Właściciel lokalu, o którym stwierdzone będzie, że nakłaniał kelnerki do czynów niemoralnych, zostanie pozbawiony koncesji.

Niektóre z tych zarządzeń są rzeczywiście słuszne, naogół jednak oddają one w ręce policji zbyt wielką władzę nad młodemi pracującymi kobietami, co może stać się powodem do nadużyć. R. C. H.

DZIECIĘCY YACHT-CLUB



Dzieci z yachtami

W Ameryce, gdzie technika dosięgła tak niebywałych wyz. nawet małe dzieci pragną rozumieć mechanizm swoich zabawek.

W Manchester, niewielkim mieście w Stanach Zjednoczonych, istnieje szkoła, w której małe dziewczątka i chłopcy, zdradzający zamiłowanie do mechaniki, uczą się konstrukcji yachtów, łodzi motorowych i żaglowych.

Co parę miesięcy urządzana jest wystawa, na której mali wystawcy prezentują własnoręcznie skonstruowane modele statków

R. C. H.

DR. ANITA AUGSPURG

Dnia 22-go września r. b. niemieckie stowarzyszenia kobiece urządziły uroczysty obchód 70-letniej rocznicy urodzin pierwszej niemieckiej prawniczki, pani Anity Augspurg.

Jubilatka studjowała prawo na uniwersytetach zurychskim i berlińskim; studja owe przerwała na pewien czas, poświęcając się sztuce dramatycznej i występując z powodzeniem na scenach teatrów w Altenburgu, Meiningen i Amsterdamie. W młodej artystce przeważało jednak dążenie do dalszego poświęcenia się studjom prawniczym; porzuca tedy scenę i z powrotem wstępuje do uniwersytetu na wydział prawny, który kończy ze stopniem doktora praw w roku 1897. Po ukończeniu uniwersytetu pani Augspurg, licząca naówczas lat 40, przyjmuje najczynniejszy udział w emancypacyjnym ruchu kobiet w Niemczech. Szczególnie czynną staje się jej współpraca przy tworzeniu kobiecego Związku Wolności i Pokoju.

Pani dr. Augspurg jest przez długie lata przewodniczącą niemieckiej gałęzi Międzynarodowej Ligi Kobiet. Wielkie są jej zasługi przy rozpowszechnianiu idei Paneuropę.

Pani Augspurg, pomimo podeszłego wieku, cieszy się dobrym zdrowiem i rozporządza pełnią swych bystrych władz umysłowych; jest ona obecnie redaktorką pisma pod tytułem „Kobieta w państwie“.

R. C. H.

KOBIETY-BURMISTRZYNI W ANGLJI

Mianowanie Miss Beavan Lordem Mayorem w Liverpoolu odbiło się głośnym echem na całym świecie. Przy tej sposobności tygodnik angielski dla kobiet p. t. „The Vote“ przypomina, że pierwszym kobiecym burmistrzem, a raczej burmistrznią w Anglii została przed trzema laty w mieście Norwich miss Ethel Mary Colman.

Widocznie Angliki mają zaufanie do energii i zdolności administracyjnych swoich pań, skoro dowiadujemy się znowu o mianowaniu dwóch kobiet na stanowiska burmistrzów. Zaszczytu tego dostąpiły: miss Caroline Helder w Whitehaven i Lady Hulse w Salisbury.

Jednak nie wszyscy synowie Albjonu spoglądają życzliwym okiem na sukcesy swoich rodaczek: niektórym z nich ciągle zdobywcze feminizmu spędzają sen z powiek, a nawet pobudzają do energicznego protestu.

Oto niedawno w miasteczku Deptford zaproponowano kobiecie, mrs. Drapper, objęcie stanowiska burmistrza miejskiego na rok 1927/28.

Dowiedziawszy się o tem, mrs. Harvey, członek Deptfordzkiej Rady Miejskiej, zapłonął świętym oburzeniem i wystosował do Rady Miejskiej list następującej treści: „Nie życzę sobie być nadal członkiem rady miejskiej, której miałyby prezydować kobieta. Na świecie dzieje się już dość źle, gdy kobiety uzyskały prawo wyborcze, nie tylko bierne, ale nawet czynne. Żeby je jednak na dodatek wybierać przewodniczącymi, — nie, tego już zawiele! Wobec propozycji, uczynionej miss Drapper, mam zaszczyt zgłosić rezygnację z mego mandatu radzieckiego.

Biedny starszy pan — tak bardzo się rozgniewał! R. C. H.

CHIŃSKA JOANNA D'ARC

Pisma donoszą ostatnio o niezwykle ważnej roli, jaką odegrała w wojnie domowej młodzieńca Li-Hung-Po. Dzięki swej niezłomnej agitatorskiej działalności na rzecz armji południowej, młoda dziewczyna w ogromnej mierze przyczyniła się do zwycięstwa nad armją Czang-Tso-Lina. Wymogła ona uroczystą przysięgę na wierność ideałom patriotycznym od wielotysięcznych zastępów kobiecych. Jak wiadomo, Chiny dalekie są od przodowania w emancypacji kobiecej — na sprawę tę rzuca jednak ciekawe światło fakt, że chińska patriotka (która szczęśliwie uniknęła tragicznych losów swej francuskiej poprzedniczki), mimo, że należy do arystokratycznej rodziny, otrzymała wychowanie europejskie.

W. B.

TYTUŁ „PANI“ W AUSTRII

Władze austriackie zdecydowały niedawno, że na dyplomach uniwersyteckich, wydawanych kobietom po ukończeniu studjów, przed nazwiskiem abiturjentki należy wypisywać odąd zamiast dotychczasowego „Fräulein“ — „Frau“, choćby nawet osoba dyplomowana nie była zamężną.

W Wiedniu, jeszcze przed wojną, władze municypalne tytułowały wszystkie nauczycielki miejskie — paniami.

Obecnie austriackie urzędniczki państwowe wystosowały do rządu petycję, prosząc o przyznanie im prawa, na którego mocy publiczność w biurach i urzędach musiałaby stale zwracać się do nich przez „pani“, a nie, jak dotychczas, „panienko“.

Rząd austriacki przychylił się do powyższej prośby, i odąd kobiety, urzędujące w biurach państwowych, będą nosiły tytuły: Frau Director, Frau Adjunkt i t. p., stosownie do swojej rangi i zajęcia.

R. C. H.

ZJAZD PIELEŃNIAREK ZAWODOWYCH

Dnia 22 i 23 października odbył się w Warszawie, w państwowej szkole higieny przy ul. Chocimskiej, Zjazd zawodowych pielęgniarek polskich.

Przyjdem Zjazdu stanowiły panie: Kulczyńska, Epsteinówna, E. Borkowska, H. Nagórska, Z. Zawadzka, H. Bridge, E. Rabowska, M. Babicka i M. Zmudzka.

Zjazd obradował nad zawodowymi sprawami Polskiego Stowarzyszenia Pielęgniarek; głównym tematem były: pielęgniarstwo zdrowia publicznego i pielęgniarstwo szpitalne.

R. C. H.



Ogólny widok sali, w której zebrane są uczestniczki Zjazdu Pielęgniarek

INVITATION A LA VALSE... PRZEZ TELEFON

Zmieniają się czasy. Zanika powoli rycerska galanterja mężczyzn, którzy, pragnąc zaprosić damę do tańca kładli rękę na sercu i zamiatali piórem od kapelusza pył u stóp swojej bogdanki. Dzisiejsi rycerze salonów znacznie uprościli sobie to zadanie. Moda przyszła z Berlina, gdzie znany zmysł organizacyjny Niemców potrafi zastosować wynalazki techniczne na każdym kroku. W Berlińskich dancingach ustawiono na stolikach aparaty telefoniczne do lokalnego użytku, służące do zapraszania dam do tańca. Podobno przy stolikach co piękniejszych pań aparat stale jest zajęty. Ciekawe jest, czy inowacja owa została wprowadzona w celu przyjsia z pomocą nieśmiałym kawalerom, czy też poprostu dla oszczędzenia im fatygi? R. C. H.

CÓRKA LLOYD GEORGE'A POSŁANKĄ

Córka dobrze znanego w Polsce byłego premiera angielskiego Lloyd George'a otrzymała propozycję od partji liberalnej, aby kandydowała do Parlamentu podczas najbliższych wyborów, jako przedstawicielka tejże partji z Pontypridd, w Walji.

Miss Megan Lloyd George, licząca obecnie lat 25, nie jest nowicjuską w polityce. Od dziecka faworyzowana przez ojca, jest pilną uczenicą i wyznawczynią jego poglądów i ideałów i, jako członkini partji liberalnej, miała już niejednokrotnie sposobność wygłaszania mów politycznych. R. C. H.

PIERWSZA DZIENNIKARKA POWIETRZNA

Tempo życia dzisiejszego w swej gorączkowości staje się wprost absurdalne. Człowiek współczesny musi być nieustannie czemś zajęty. Nie znaczy to, aby był tak pracowitym, nie: to raczej nerwy jego muszą być wiecznie czemś zaabsorbowane. Gdy skończył pracę, wnet chwytą za gazetę, wybiega do kina, w kawiarni śledzi za wciąż zmieniającym się tłumem ludzkim i t. p.

Nawet w podróży, odbywanej dla skrócenia czasu w samolocie, nie wystarcza mu oglądanie pejzażu, lub, ostatecznie, godzinka skupienia się i kontemplacji wewnętrznej. Na ziemi dzieje się coś nowego już od pół godziny, a on jeszcze nie wie o niczem!

Dla zapełnienia czasu takich zdenerwowanych nowoczesnych podróży, na aeroplanach, przelatujących cokolwiek dalsze przestrzenie, przystąpiono niedawno do wydawania miniaturowego dziennika, którego redaktor i zecer w jednej osobie otrzymuje z ziemi wiadomości, zapomocą radja,



P. Gladys Mc Connol, oryginalna dziennikarka.

Pierwszą taką powietrzną dziennikarką, czy też redaktorką jest Miss Gladys Mc Connol. Zdjęcie nasze przedstawia ją przy mimeografie, na wysokości 2000 metrów nad Los Angeles. R.C.H.

LOT MISS RUTH ELDER NAD OCEANEM

Pomimo to, że przelot nad Atlantykiem kosztował już życie 21 ofiar, w tem dwóch kobiet, szalone to przedsięwzięcie nie przestaje nęcić nowoczesnych lkarów.

Dnia 11-go października z lotniska w Roosevelt Field pod Nowym Yorkiem wyleciał znowu na podbój oceanu samolot „American Girl”, mający na pokładzie młodą amerykankę miss Elder i kapitana Heldemana.

Śmiała ta wyprawa nie osiągnęła zamierzonego celu. O cztery godziny od lądu europejskiego samolot wpadł w strefę wirów powietrznych; wypadło zboczyć z drogi i przebyć przestrzeń 800 kilometrów bez możności lądowania.

Stary Neptun nie lubi, aby z niego żarty sobie strojono, to też rozgniewał się na śmiazków i wzburzył ocean tak, jak to on tylko potrafił! Spojrzał jednak na tę, która odważyła się mu sprzeciwić, przyjrzał się bliżej i zdziwił się ogromnie: Toż to dziewczyna, młodzianka, a w dodatku śliczna! — żał się zrobiło staremu i pozwolił jej ujść z życiem.

Miss Ruth Elder, która, jak wiadomo, dotarła na parowcu holenderskim „Barendrecht” do Londynu, tak opowiada o swoim cudownym ocaleniu:

— Wyruszyliśmy z Roosevelt Field przy doskonałych warunkach atmosferycznych! Dopiero nad wieczorem dostaliśmy się w strefę fatalnej pogody, tak że, aby uniknąć wichury, zmuszeni byliśmy lecieć na wysokości 3,500 m. Koło godziny 9-ej wieczorem rozpętała się straszliwa burza, z którą walczyliśmy przez całą noc. Zaczęliśmy wątpić o możliwości ocalenia. Skrzydła aeroplanu poczęły wydawać podejrzany chrzęst; najwidoczniej było, że grożą odpadnięciem. Oliwa wyciekała ze zbiornika. Katastrofa zdawała się być nieunikniona.

Nagle na horyzoncie ujrzeliśmy pióropusz dymu. Był to parowiec „Barendrecht”. Natychmiast skierowaliśmy lot w jego kierunku, drząc, że każdej chwili w motorze naszym musi nastąpić wybuch benzyny. Jeszcze minuta, dwie, trzy wyczerzonego lotu, i oto opadamy w pobliżu parowca, z którego marynarze rzucają nam liny ratunkowe. Zaledwie znaleźliśmy się na pokładzie, gdy motor eksplodował, i za moment z drogiej naszej „American Girl” pozostały tylko szczątki! Ocalenie nasze było poprostu cudowne. Lot nasz trwał 35 godzin.

Eksplozja rezerwoarów benzyny w samolocie zniszczyła nie tylko aparat, ale również wszystkie te nowe kreacje mody, które wieziono do Paryża, aby je tam zademonstrować.

Po przybyciu do Londynu, miss Elder czekał szereg owacy i wspaniałych propozycji.

Dyrektor jednego z nocnych lokali nowojorskich przyrzekał jej 10 tysięcy dol. tygodniowo za występy na jego scenie.

Pewien dziennik amerykański ofiarował jej 80 tys. dolarów za napisanie historii przelotu.

Dwie wytwórnie filmowe ubiegają się o zaszczyt pozyskania lotniczki do zdjęć kinowych. I t. d. i t. d.

Miss Elder ze śmiechem odrzuca te wszystkie nęcące propozycje. Ma czas o tem pomyśleć. Tymczasem musi się nacieszyć swoją młodością, swobodą i rozkosznym uczuciem, że... żyje.

R. C. H.

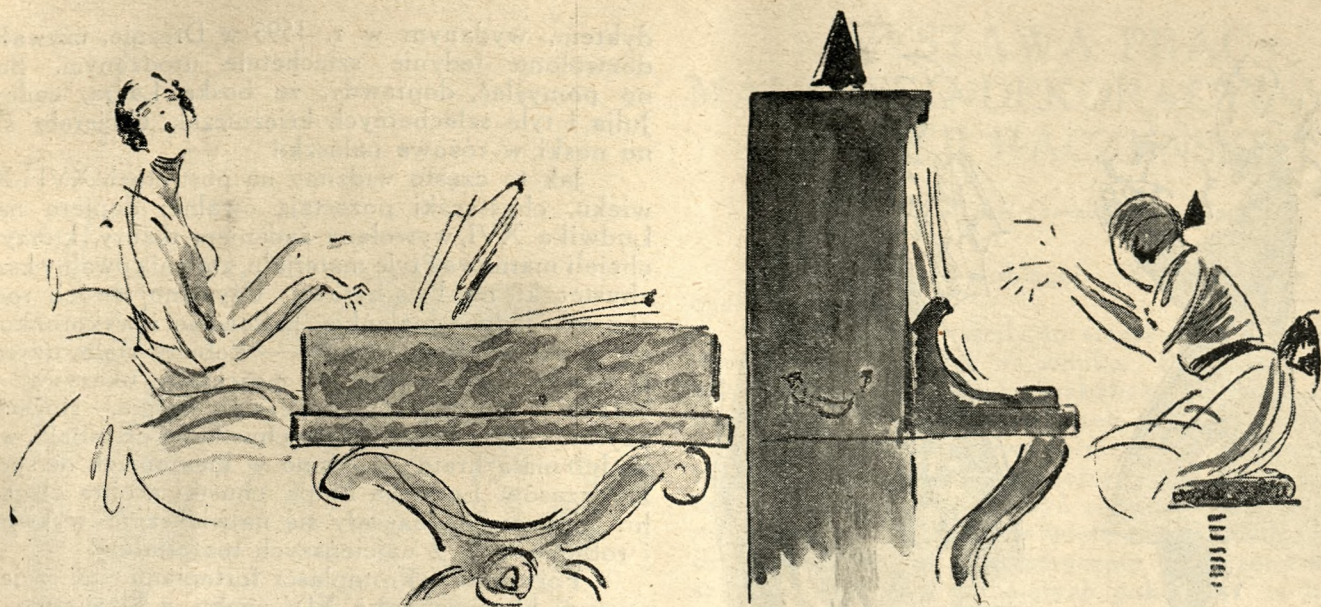
KOMUNIKATY

Rozumiejąc doniosłość akcji zwalczania alkoholizmu, Państwowa Szkoła Higjeny wzięła gorący udział w zwołaniu VII Polskiego Kongresu przeciwalkoholowego. Zjazd odbędzie się w dniach 13—14 listopada 1927 r. w gmachu Państwowej Szkoły Higjeny. Poprzedzi go wystawa i kurs alkoholologii (od 8—14 listopada), w którym wezmą udział najwybitniejsi prelegenci ze świata lekarskiego.

Wszelkich informacji udziela Komitet Organizacyjny Kongresu: Warszawa, Żórawia 21 m. 28, tel. 26-21, od 4 — 6 pp., oraz Sekretariat Szkoły Higjeny: Chocimska 24, tel. 104-81.

* * *

Drobnych rękopisów nie zwracamy. Z obszerniejszych nowel, artykułów i t. d. ulegają zwrotowi tylko prace, zaopatrzone znaczkami na odpowiedź i wyraźnym żądaniem odesłania wrazie nieprzyjęcia.



ONGI A DZIŚ

Historja kapelusza, koszulki, chusteczki do nosa i fortepionu

Kapelusz. Nasze prababki nosiły na głowach czepce płócienne, najbardziej niespodziewanych kształtów: ostrokątne, lub piramidalne, dochodzące do 70 cm. wysokości. Dopiero w XVI stuleciu ukazują się na kobiecych główkach kapelusze filcowe, naśladujące kapelusz Henryka II-go. Służą one do wyjazdów, w domu zaś noszą panie siatki z jedwabnych i złotych nitek, nierzadko nawet — z pereł. Za rządów kardynała Mazarina adeptki Frondy przywdziały wielkie kapelusze piłśniowe z piórami. Modę tę zachowano nadal do polowania i do konnej jazdy, a w XVIII-ym wieku nosi się kapelusz stosowany (trójgraniasty). Aż do panowania Ludwika XVI kobieta nie ma specjalnego dla siebie fasonu, naśladuje zawsze mody męskie. Po tokach idą kapelusze piłśniowe muszkietarów. Portret pani de Pompadour w ogromnym słomianym kapeluszu z kwiatami jest tylko przebraniem teatralnym do sztuki „La belle jardinière”. Na przechadzce, czy u dworu ówczesne elegantki ogólnie nosiły czepce. Wysokie stożki z czasów Ludwika XIV-go, za następnego panowania ustępują miejsca zalotnym, delikatnym motylkom, o eterycznych skrzydełkach.

Od 1775 do 1785 roku panna Bertin, modystka królowej Marji Antoniny, narzuca przesadne stroje głowy, z górami loków, wstążek, gazy; wszystko oparte na kadłubach tekturowych, pomieszanych z drutem. Kobiety o zdrowym rozumie i z dobrym smakiem, (takich, niestety, było niewiele!) bolały nad temi szaleństwami. Pierwsze prawdziwe kapelusze, to pasterki z florenckiej słomy i turbany pięknej Lady Hamilton. Ze zwycięstw Bonapartego rodzi się kapelusz w formie kasku, a w początkach cesarstwa ukazuje się kapelusz-karjolka, z pod którego skrzydeł, jakby z ukrycia, zalotnie wygląda wyszminekowana twarzyczka.

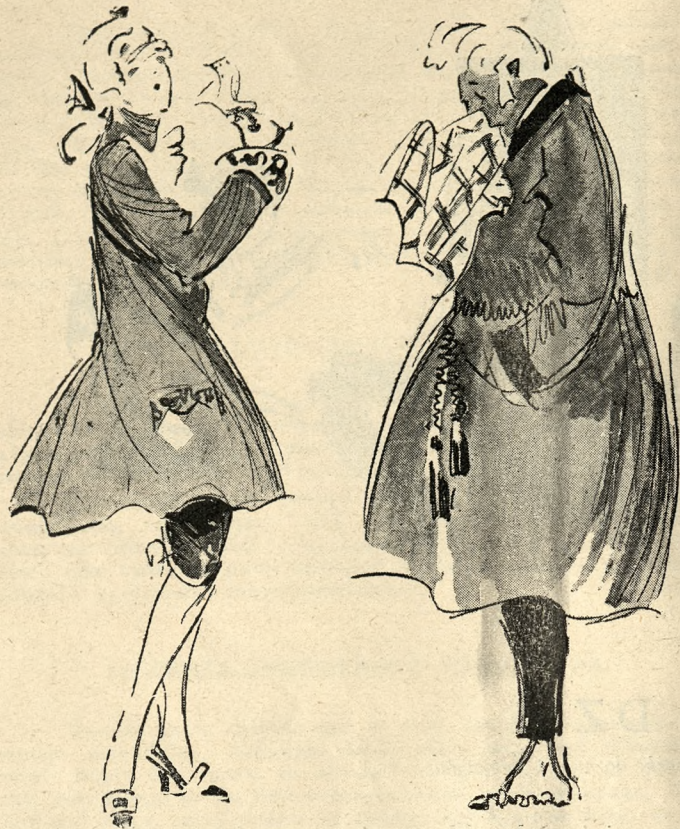
Nadworny dostawca cesarzowej Józefiny, Leroy, stwarza modele kapeluszy, naśladujące starożytne wzory. Cesarzowa Józefina posiada naraz 250 kapelu-

szy, a jej córka, Hortensja, gromadzi z wielką rozrzutnością uwielbiane przez siebie berety.

Pod koniec I cesarstwa Leroy wprowadza w modę „Pamelę”, rodzaj kapotki z dużemi skrzydłami, z wysoką główką, która zdobywa szalone powodzenie. Księżna de Berry lansuje wdzięczny beret. Niebawem ukazuje się budka, i od tej pory kobiety noszą już wyłącznie tylko damskie kapelusze, które szybko nabywają prawa obywatelstwa, czyli wchodzą w modę.

Koszulka. Pochodzenie damskiej koszulki (gizelczka) niknie w mrokach przeszłości. Kolebka sztuki — Egipt — był również kolebką wyrafinowanej kokieteryj. Wspomnienie pierwszych koszul, będących jedynie tunikami, noszonymi na gołym ciele, pochodzi z ziemi Faraonów. Ich córki owijały się w rodzaj bogatego ubrania spodniego, o świetnych barwach, na które wystarczyło narzucić rodzaj peleryny, haftowanej złotem i drogiemi kamieniami, aby być należycie ubraną.

Wizytowa toaleta Kleopatry nie różniła się wielce od niektórych toalet naszych elegantek. Księżniczki Tyru wybierały na koszule rzadkie i kosztowne materje, a dla zmniejszenia ich przezroczywości przeciążały je bogatemi ozdobami. Pomysłowo udrapowany prostokąt lniany, albo z cienkiej wełny, na ramionach spięty drogocennemi klamrami, a pasem w biodrach — oto koszula greczyński. Od tego, trochę skomplikowanego przybrania, niektóre kobiety w Grecji wolały ubranie z krótkimi rękawami, niewiele różniące się od naszej koszuli. Rzymskie zbytnice z czasów Horacjusza nosiły lniane, albo jedwabne spody, w gorących tonach pomarańczowych, fioletowych, purpurowych. Ale opuśćmy przeszłość pogańską i udajmy się do Francji, gdzie już w VI w. ukazuje się koszula. Była ona wielkim zbytkiem i tak cennym, że św. Radegunda składa, w formie ofiary, koszule swojemu na ołtarzu. Czy dlatego, że wystarczyły mu 3 koszule, Karol Skromny dostał ten przydomek, — nie jest



stwierdzone. Znaczny postęp w kierunku bielizny wykazuje Izabella Bawarska trzema tuzinami koszul haftowanych, które wnosi w wianie królewskiemu małżonkowi. Zwyczaj noszenia bielizny rozpowszechnia się powoli. Rycerze przywożą z wojen Krzyżowych haftowane jedwabie, drogie kamienie, pachnidła. Koszule zdobi wschodni przepych; rozcinają rękawy, otwierają suknie, aby kazać podziwiać złotem haftowane, jedwabne koszule. W zamęcie wojny stu letniej cywilizacja w pełnym rozkwicie zanika; brakuje wszystkiego—nawet bielizny. Jak zwykle po wielkich kataklizmach, po 100 latach okropności, rozpętał się szal używania życia. Szlachta i mieszczenie przesadzają się w zbytkach. W XVI wieku zasypują koszule arabeskami, haftowanymi prawdziwymi perłami. Naprawdę wydane przez Henryka III edykty, ograniczające zbytek, ścigają rozrzutników. W XVII wieku przepych w bieliźnie robi się ostentacyjny — nawet u mężczyzn, którzy w najsroźszą zimę noszą krótkie kaftany, rozpięte na piersiach, aby pokazać bogactwo bajkowo cienkich koronek, zdobiących bieliznę.

XVIII wiek łączy wspaniałość z subtelnością; rewolucja przerywa te wyrafinowane świetności. Uwielbiający plastykę Dyrektorjat, triumf lekkich, jak skrzydła motyle, muślinów, zamienia koszule — w suknie. Napoleon I kasuje te frywolne mody, daje początek powadze, niktnej dopiero za drugiego cesarstwa, które wprowadza wdzięczne stroje, potępiane początkowo przez pełne skrupułów jednostki, które uważały je wówczas za gorszące; a jednak, porównane z dzisiejszymi modami, byłyby one szczytem skromności.

Chusteczka. W połowie XV stulecia ukazuje się poraz pierwszy chusteczka do nosa, zrodzona w Wenecji, kształtu owalnego. Dostawczy się do Francji, prędko przyjęła się na dworze Henryka II, ale długo uważana była za przedmiot takiego zbytku, że e-

dyktem, wydanym w r. 1595 w Dreźnie, używać jej dozwolono jedynie szlachetnie urodzonym. Smutno pomyśleć, doprawdy, że boska Laura, cudowna Julja i tyle szlachetnych księżniczek obcierało śliczne noski w różowe paluszki!

Jak to często widzimy na portretach XVI i XVII wieku, chusteczki pozostają owalne; dopiero nakaz Ludwika XVI, wywołany żądaniem tkaczy, którzy nie chcieli marnować tyle materiału, zmienia owalny kształt chusteczki na kwadratowy. Używano dwóch rodzajów chustek: jedne—małe, haftowane i wykoronkowane, z najcieńszego batystu, — kobiety stale trzymały w dwóch paluszkach, a mężczyźni ukazywali ich brzeżki z kieszonek od kamizelek; drugie,—służące do użytku codziennego, zwane chustkami do tabaki, w dużą, lub małą kratę,—noszono w kieszeniach od spodni. Za czasów Ludwika Filipa chustki arbitra elegancji, hr. D'Orsay, odznaczały się największym wykwintem i robione były z najcieńszych materiałów.

Fortepian. Protoplasta fortepianu—to—z jednej strony—klawicymbał z XIV wieku, z klawiaturą, której klawisze zaopatrzone były w gęsie pióra, przeznaczone do wywoływania dźwięków ze strun, robionych z wnętrzości baranich; z drugiej strony—szpinetka, czyli szpinet, o metalowych strunach; ojcem jest mu klawikord, z klawiaturą o pięciu oktawach i dwoma pedałami. Na początku XVIII wieku włoski fabrykant klawikordów, Bartłomiej Cristofori, udoskonala ten instrument, nadając mu stopniowanie tonów (fortepiano) i dźwięk strunom, a także zamieniając pałeczki, zakończone języczkami ze skóry, albo z piór dla wywołania dźwięków,—na pomysłowo poruszane młoteczki. Przejmujący, głośny, rozmaity dźwięk, jakby





orkiestry w zmniejszeniu, zastąpił anemiczny, starchy głos klawikordu. We Włoszech Cristofori uważany jest za wynalazcę współczesnego fortepianu; sprawiedliwość jednak każe przyznać, że Niemiec Silberman jednocześnie prawie wynalazł analogiczny system. Dla pełnych, mogących modulować się tonów, fortepian nazwano początkowo piano-forte. Jak wszystkie nowości, spotkał się fortepian na początku z licznymi przeciwnikami. Nawet Voltaire nie przeczył Szopena, ani Saint-Saënsa i zwał fortepian kotlarskim wynalazkiem.

Z...a.

KAŻDA Z PAŃ POWINNA NABYĆ KSIĄŻKĘ

p. t.

„Piękność i zdrowie w życiu kobiety“

(Higiena kosmetyczna)

Nieocenionej wartości ZBIÓR NAJWAŻNIEJSZYCH WIADOMOŚCI Z ZAKRESU HIGJENY KOBIECEJ.
NAUKA MASAŻU TWARZY I BIUSTU etc:

CENA 5 ZŁ.

Z przesyłką poleconą 5 zł. 50 gr.

Do nabycia w Tow. Wyd. „Bluszcz“. Krak.-Przedm. 99.
po przesłaniu należności znaczkami pocztowymi, lub na
konto czekowo P.K.O. Nr. 13.555.

Za zaliczeniem, ze względu na wysokie koszty pocztowe, nie
wysyłamy.

WYSTAWA PRAC MALARSKO-DEKORACYJNYCH P. ZOFJI RACZYŃSKIEJ

W salonie sztuki Czesława Garlińskiego

Wystawa pracy kobiecej. Wystawa prac kobiecych dla kobiety.

Minęły czasy, kiedy to staroświeckie palisandry przechodziły z dziada na wnuka. Porąbano na opał czeczotkowe sekretarzyki prababek. Paliła je bolszewicka tłuszczka, a nieraz grzeli się przy podobnych ogniskach i nasze pocziwe żołnierzyki. Mówi się: trudno à la guerre comme à la guerre. Ale i po wojnie niełatwo przychodzi się zdobyć na nowy, kompletny garnitur mebli. Wiele, jakże wiele inteligentkich rodzin dotąd mieszka w prowizorycznie urządzonych mieszkaniach (czytaj—odnajętych pokojach), w których rozłożony na starych skrzyniach materac zastępuje otomanę i łóżko, a zakryty pstrym kilimkiem zydel kuchenny służy, w miarę potrzeby, to za krzesło, to za nocny stolik. Jeżeli się nawet posiada jakieś, o ściśle określonym użytku, meble, są to zazwyczaj albo stare, cudem z ogólnego zniszczenia uratowane graty, albo przygodne, tanio kupione na licytacji. Każde z innej serji, zdają się na siebie boczyc złowrogo.

A przecież kobieta współczesna nie mniej kocha swoje skromne dzisiejsze gniazdko, niż dawne przedwojenne apartamenty. Nawet temu jednemu, odnajmowanemu od gderliwej gospodyni, pokojowi pragnie nadać wygląd estetyczny i przytulny. I tu przychodzi jej z pomocą sztuka stosowana, którą w obecnych czasach można nazwać sztuką dostosowywania się. Szeroki, barwny pasiak zamienia materac na skrzyniach we wspaniałą tachtę; podniszczona jedwabna chustka, umiejętnie udrapowana, zakryje plamę na tapecie, a i własnych dziur nie zdradzi. Pomysłowe poduszki, zrobione z umiejętnie użytych resztek, zachęcają do siesty; pstre abażurki łagodzą ostrą jaskrawość elektrycznych lampek, a modne, cudaczne lalki, dziwolązki, zrodzone z tęsknoty kobiety samotnej za dzieckiem, nadają pustemu pokojowi charakter zamieszkały.

Tej właśnie, nieodpartej potrzebie kobiecej, potrzebie tworzenia sobie w najtrudniejszych warunkach zacisznego home'u, przypisać należy obecny rozkwit sztuki stosowanej. Jak zwykle i wszędzie, wiele jest powołanych i niewiele wybranych. Każda kobieta pragnęłaby móc się tanim kosztem ładnie urządzić, nie każda jednak potrafi. W rękach jednej ścinki sukna i aksamitu układają się same, jakby od niechcienia, w kształty groteskowych zwierząt i nigdzie niewidzianych kwiatów; inne—potrafią jedynie w mierzalnym skupieniu naśladować wzory z modnych pism. Bądź co bądź, potrzeba jest matką wynalazków, i niejednokrotnie chęć przyozdobienia domowego ogniska była chwilą narodzin prawdziwej artystki.

Wszystkie te luźne na temat sztuki stosowanej refleksje przychodziły mi na myśl podczas oglądania ślicznych prac p. Zofji Raczyńskiej, w salonie Garlińskiego. Może dlatego, że artystyczne spiętrzenie barwnych szali i poduszek, na których zdają się nudzić śliczne, pogardliwe markizy w sztywnych, taftowych robach, te śmieszne, niskie lampki w pstrych abażurkach, wazoniki i wazony o dziwnych deseniach—tworzyły najrozkoszniejszy kącik, jaki współczesna kobieta mogłaby dla siebie wymarzyć. Pani Zofja Ra-



Z wystawy prac p. Z. Raczyńskiej

czyńska jest zresztą artystką najzupełniej świadomą swoich celów i środków, łączącą wybitny talent dekoracyjny z benedyktyńską wprost pracowitością. Żyje w nieustannym poszukiwaniu coraz nowych, coraz doskonalszych środków technicznych. W wykonaniu p. Z. Raczyńskiej liworyzacja nabiera koronkowej lekkości, albo, wtłoczona jakimś tajemniczym sposobem w plusz, robi wrażenie intarsji z perłowej macicy. Porcelana p. Raczyńskiej przypomina najpiękniejsze wyroby fabryk, dziś już nieistniejących. Artystka zgodziła się uchylić rąbka technicznej tajemnicy i zwierzyła mi, że maluje porcelanę jeszcze surową, zapomocą maluchnych pendzelków; sama nazywa ten sposób pracy „tatuowaniem”. Małeńkie, pękate lampki mają abażurki z plisowanego pergaminu, malowanego en dégradé. Pergamin ten jest trwalszy od crêpe de chine'u i świetnie daje się zmywać.

Ale najciekawsze z wyrobów p. Raczyńskiej są stanowczo malowane tkaniny: szale, kupony na suknie. Artystka posiadała tajemnicę płynnych farb, doskonale przezroczystych, nie zostawiających twardego konturu, nadających się do najsubtelniejszego cieniowania. Są to jedyne farby, dające się zastosować na lamie, co pozwala na osiągnięcie niezwykłego bogactwa efektów. Mniej wspaniałe, lecz jeszcze może ciekawsze artystycznie, są malowane przez p. Raczyńską georgette'y i crêpe de chine'y. Malarka bierze tu za punkt wyjścia kompozycji nie kontur deseni, lecz tło, którego stopniowe ściemnianie i rozświetlanie łączy się z falistą, zygzakowatą linią deseni i zdaje

się mienić całą gamą kolorów. To cieniowanie (dégradé) tkanin p. Raczyńskiej, przypadkowo zgodne z najostatniejszymi wymogami mody, jest wynikiem jej wysokiego poczucia barwy i mistrzostwa techniki.

Absolwentka jednej ze szkół malarstwa w kraju, włóczyła się pani Z. Raczyńska sporo lat po Paryżu. Niestrudzona pionierka nowych dróg, zapisywała się do różnych szkół, jako uczenica. Ale przekonała się niebawem, że wszędzie od uczeni bierze się tylko pieniądze, lecz kryje przed nimi zazdrośnie tajemnice fachowe, techniczne. Więc rozpoczęła wędrowkę po malarskich pracowniach, jako pomocnica, współpracowniczką. Nieraz zaczynała od zamiatania pracowni i czyściła pendzle, ale w ten sposób zdołała się wiele nauczyć, niejedno podpatrzeć. Resztę dał jej własny talent. Dziś posiada pracownię w Paryżu i stały kontakt z Ameryką. Lecz ani paryskie laury, ani yankiesowskie dolary nie były wstanie zagłuszyć tęsknoty za krajem. Pani Raczyńska zdecydowała się na założenie drugiej pracowni w Warszawie. Niestety, rzeczywistość jest zwykle mniej piękna, niż marzenie! to też artystka jest nieco rozczarowana. Skarży się na trudne warunki pracy; twierdzi, że musi sprowadzać z zagranicy surową porcelanę, odpowiednią do malowania lamę i niezbędne składniki farb. Skarży się również na niewyrobiony smak klienteli, wołającej nabywać w tej samej nieomal cenie fabryczny druk, niż artystyczne, ręczne malowidło. Chcemy wierzyć, że są to tylko pierwsze lody, które zostaną wkrótce przełamane.

Publiczność pozna i oceni artystkę; artystka poczuje się szczęśliwą w ojczyźnie, za którą tak tęskniła.

Well.



CZYSZCZENIE DYWANÓW

Zapytywana przez szereg czytelniczek wiejskich i miejskich, jak utrzymać w porządku, czyścić i trzepać meble i dywany — postanowiłam dać wyczerpującą ogólną odpowiedź, w której każda z pań znajdzie potrzebne wiadomości. Zaczniemy od dywanów, które, choć bardzo zdobią mieszkanie, coraz rzadziej spotykane są w małych mieszkaniach ludzi średnio zamożnych. Mówię tu, naturalnie, o wielkich dywanach, zaścieniających całe pokoje, często nawet na moc przybitych — bez takich dywanów nie było dawniej eleganckiego urzędzenia.

Możemy wyobrazić sobie, jakimi zbiornikami kurzu i roznadnikami bakteryj były takie, najwyżej dwa razy do roku trzepane, sukna lub dywany! — Tu wyższość dzisiejszych zwyczajów jest niezaprzeczalna: o ilez czyszczej, higienicznej można utrzymać mieszkanie, w którym lśniaca posadzka, zarzucona jest małymi dywanami, kilimami, makatami, ławkami do oczyszczenia i wytrzepania!

Mniejsze dywany chociaż raz na tydzień wytrzepać należy. Zbrudzone, szczególnie jasne, małe dywaniki można prać, nalawszy na nie letniego odwaru mocno wygotowanego mydlika, dodając, jeżeli bardzo brudne, jeden dkg. amonjaku do wody. W tym

roztworze trzymać dywaniki z godzinę, poruszając nimi lekko. Następnie przelać kilka razy czystą, miękką wodą i wyjąć z niej, nie wykręcając, tylko wyciskając. Do wysuszenia rozłożyć na ziemi na derce wełnianej w przewiewnym miejscu.

Mniej brudne dywany można czyścić zapomocą trocin, zwilżonych lekkim roztworem sody, które trzeba tak skropić, aby z łatwością dały się rozsytać na palec grubo po dywanie. Następnie walcem ogrodowym, albo dużym wałkiem od maglowania przeciągnąć kilkakrotnie po rozsypanych trocinach raz przy razie i zaraz zmiatać je szczotką, a po zupełnym usunięciu pierwszych, posypać drugimi, zwilżonymi już tylko czystą, zimną wodą; znów przewalcować rozpostarty na podłodze dywan i szczyścić mocno szczotką. Jeżeli zabiegi te robione były starannie, wprawnie i szybko, wilgoć nie powinna przedostać się na odwrotną stronę dywanu, który wtedy z łatwością wyschnie na powietrzu, albo w pokoju na podłodze, nakryty starymi kołdrami, które wilgoć wyciągną. Ten sposób, choć doskonały, nadaje się tylko do ciemnych, podniszczonych już dywanów, soda bowiem odbiera świeżość kolorom. Kosztowne, o jasnych, delikatnych barwach, trzeba albo oddać do pralni chemicznej, albo czyścić sposobem, który daję poniżej: wytrzeć i, jeśli kto ma, wyczyścić elektroluxem jak najdokładniej przeznaczony do prania dywan, rozpostrzeć go na podłodze, posypać trocinami, obficie zmoczonemi benzyną, i wycierać niemi dywan po kawalku. Ponieważ benzyna łatwo się ulatnia, moczyć w niej trociny po trochu na misce, aby nie wysychały za prędko, i, zmieniając je często, trzeć dopóty, dopóki zupełnie czyste schodzić nie będą, a benzyna nie usunie brudu i plam z dywanu. Zbrukane trociny zmiatać ciągle miotłką, a posypując świeżymi, nie żałować ich: warstwa trocin powinna być co najmniej na palec gruba. Benzyny również nie trzeba oszczędzać, żeby dywan dobrze doczyścić, bo choćby jej wyszło kilka funtów, i tak taniej będzie od ceny, jaką zapłacilibyśmy w pralni. — Od dokładnego wykonania tego przepisu zależy jego rezultat; ręczę jednak, że jeśli będzie starannie i cierpliwie stosowany, dywan wyjdzie jak nowy. Przy zbliżającej się zimie wskażę jeszcze znakomity sposób odkurzania dywanów, — niestety, dający się stosować prawie że jedynie na wsi: — jest to trzepanie dywanów na śniegu. Trzeba je kłaść spodem do góry na czystym, najlepiej świeżo upadłym śniegu, zostawić tak 5 minut; następnie trzepać z lewej strony, przesuwając co raz to na świeży śnieg, dopóki zupełnie czysty pod dywanem nie będzie, a cały kurz i brud z dywanu nie zostanie na śniegu.

Znakomity ten sposób w zupełności zastępuje na wsi nasz elektryczny odkurzacz miejski.

Dla codziennego utrzymania w porządku dywanów i dywaników trzeba co parę dni posypywać je do czyszczenia zwilżonemi listkami herbaty; wybrawszy z imbryczka trzeba je wypłókać, aby barwę straciły zupełnie, inaczej listki plamiłyby dywan, a tak, odcisnięte ze zbytnej wilgoci, delikatnie zbierają powierzchniowy kurz.

Można również używać w tym celu wygotowanych drobnych listków siana, następnie wypłokanych i wyciśniętych ze zbytnej wilgoci.

Najlepszą jednak do tych zabiegów jest mocno odcisnięta z sosu, przesiekana lekko, kapusta kwaszona, grubo rozsypana po dywanie, a po chwili szczy-

szczona miotłką. Kapusta wilgotna zbiera kurz, a jej kwas odświeża kolory. Codziennie trzeba zmiatać dywany specjalnie do tego przeznaczoną szczotką z korzeni, obsadzoną na wysokim kijku tak, aby można stojąc tę czynność uskutecznić.

Do takiej szczotki powinien być przywiązany rzadki, gruby grzebień, aby wyczesywać z niej ciągle zbierane śmiecie; utrzymywać ją trzeba czysto, co dwa tygodnie myjąc w wodzie z amonjakiem, uważając, aby nie zamoczyć oprawy, a myć tylko samą szczotkę. Kto posiada odkurzacz elektryczny, ten ma naturalnie bardzo ułatwione zadanie w utrzymaniu porządku — mogąc przynajmniej raz na dwa tygodnie wyciągnąć kurz z dywanów. — O utrzymaniu mebli, czyszczeniu pokryć i odświeżaniu drzewa pomówimy następnym razem.

I. S.

KOSZYKOWE

Niezawsze bywa ono dobrowolne, gdyż nie wszystkie służące są nieuczciwe, w tym sensie, że nie każda sobie dolicza na swoją korzyść pewne dodatki do rynkowej ceny produktów; jednak każda prawie pani domu, każda gospodyni, nie robiąc zakupów sama, przepłaca za nie; objaw to niezmienny i stały. Gdybyśmy kupno produktów powierzały doświadczonej, uczciwej służbie, dbającej o interesy chlebobawców takiej, jakiej dużo było u nas w kraju przed wojną, — tak dużo, że wiele emigrowało do Rosji, i polska kucharka była poszukiwana i ceniona w Petersburgu, Moskwie, Kijowie i Rydze, jako osoba umiętna i zasługująca na zaufanie, — otóż, gdybyśmy dzisiaj miały takie zaufane osoby, powierzanie im zakupów byłoby zupełnie naturalnem. Niestety, większą część naszej służby stanowią różne „panny Kasie“ i „panny Marysie“, które przed paru dopiero miesiącami przyjechały z pod Rypina, lub innego Kocka, i które z kultury wielkowiejskiej przyjęły cieliste pończochy i lakiarki na wysokich obcasach, a gotować się nauczyły mętny stałe „roszół“ i stałe przydymioną pieczeń. I takim to zastępczyniom panie domu powierzają dom cały, nieraz drobne dzieci, a zawsze — drobne zakupy żywnościowe!

Nieraz widzę w rannych godzinach w halach, lub w sklepach spożywczych, jak taka dziewczynina, cała przejęta opowiadaniem zręcznego sprzedawcy o nadzwyczajnych okrucieństwach, lub płomiennych uczuciach, oglądanych w najbliższym kinie, nie widzi, jak jej dokładają kości do mięsa — nawet ponad zwykłą normę i tak nadnormalnej dokładki; jak przyciskają zręcznie wagę, aby stuknęła; jak wylewając mleko, lub śmietanę z litra, część płynu w nim pozostawiają; jak wsuwają w torebkę nadpsute owoce, zgniłe jaja, raki bez łap i t. p. Jeżeli my, doświadczone i uważne, dawne gospodynie, nieraz bywamy oszukiwane, cóż się da powiedzieć o takiej zagapionej gąsce?! Gorzej jeszcze jest z cenami: nigdy te panie nie umieją powiedzieć, po czemu co było. Zwykle odpowiadają na zapytanie ogólną sumą, zapłaconą za jakiś artykuł, bo przecież one nie umieją porachować, a kupiec wie lepiej od nich, co ile danego dnia kosztuje! O jakimś kwestjonowaniu wysokości ceny, o jakimś targowaniu się, mowy być nie może. Na to ich kuchenny, specjalny savoir-vivre, ich dystyng-

cja nie pozwala. Bo one mają swoje specjalne pojęcia o tem, co uchodzi, a co nie uchodzi. Moja znajoma w Lublinie nie mogła znaleźć niańki do dziecka, gdyż dziewczyny wszystkie, jedna w drugą; wstydziły się wieźć dziecko wózkiem po ulicy; a kiedy szła z kucharką na rynek i ta kucharka spotkała swego znajomego, to prosiła panią, aby ją zakryła swą osobą, gdyż ów znajomy mógłby ją zobaczyć z koszem na rękę! Otóż wskutek takiej bezbrzeżnej głupoty, kosztykowe przenosi się do handlarzy i sklepikarzy, którzy ogromne i nieuczciwe zyski ciągną z ciemnoty naszych niby pomocniczych gospodarzy.

Temu złemu jednak tak łatwo jest zaradzić! Niewątpliwie w Niemczech, gdzie każda Hausfrau, chociażby najlepiej materialnie sytuowana, nieraz własnym powozem, lub w towarzystwie eleganckiej służącej, uzbrojonej w olbrzymi kosz, uważa za swój święty obowiązek wszystkie zakupy robić sama, lecz nawet w eleganckim Paryżu, tym Paryżu, który we wszystkim imitować uważamy za swój święty obowiązek, — rano całe setki i tysiące eleganckich kobiet z najróżnorodniejszych sfer towarzyskich wyruszają, uzbrojone w spore koszyki „pour faire leur marché“. I jak się te kobiety doskonale znają na gatunku mięsa, na świeżości ryby i drobiu, jak wiedzą, gdzie co taniej nabyć można, jak umieją obliczyć ilości każdego produktu, aby się nic nie marnowało, jak umieją zastosoować wydatki do swoich środków! Jeżeli chodzi o rachunkowość ściśle — niema lepszych gospodyń od francuzek.

Już nie będę mówiła o sezonowych zakupach, które zawsze się skutecznia hurtowo, z dostawą do domu, i które zwykłe pan, lub pani domu, gdzieś w pewnej firmie, gwarantującej dobrą wagę i miarę, — załatwia, lecz i wszystkie inne artykuły, nie psujące się, powinny być kupowane osobiście przez samą panią. Mąki i kasze, grochy i makarony, kawa, kakao, herbata, cukier, konserwy, korzenie, spirytualja i t. p. Kilkumiesięczne notowanie ilości zużytych, pozwoli nam znać ściśle potrzeby naszego domu i naszej rodziny, — i nie będziemy w ostatniej chwili posyłać po pieprz, lub szmalc, którego zabrakło, — przyczem kupno łuta jednego, lub ćwiartki drugiego trwa godzinę, chociaż się załatwia w najbliższym sklepiku, mimo to, że kazano wszystko brać zawsze w dużej firmie, — ale tam przecież nie usłyszysz ani plotki o sąsiedniej kucharce, ani się spotka tego miłego ordynansa z przeciwnika! Pozostają codzienne zakupy: mleko i bułki, jako artykuły, brane zawsze w tej samej ilości, w tem samym miejscu, można powierzyć służącej; — jeśli jednak nie jesteśmy jej zupełnie pewni, lepiej opłacić zgóry należność za cały tydzień, a jej pozostawić tylko przynoszenie ich do domu.

Mięso i drób, rybę, delikatniejszą jarzynę, owoce można doskonale kupić sobie samej; dwa, trzy kilo, potrzebne dla niedużej rodziny, można bez zmęczenia przynieść w ładnym koszyku, lub, co ładniejsze, w zgrabnej torebce. Cięższe rzeczy, jak kartofle, buraki, kapusta i t. p., może kupić ostatecznie służąca: jeżeli pani będzie znała cenę każdego z tych artykułów, dużych nadużyć nie będzie.

Pamiętam z lat dziecinnych, że w Rydze, na rynku, stały szeregi starszych kobiet i podrostków z dużymi koszami na plecach, które to i którzy za kilkanaście kopiejek zabierali wszystkie większe zakupy w te kosze i, idąc za panią, przynosili jedo domu.

Czemuby i u nas, gdzie jest tyle bezrobotnych i tyle nie umiejących zarobkować, nie znaleźli się tego rodzaju specjaliści?

Pani Elżbieta.

JUBILEUSZ KOŁA MIŁOŚNIKÓW OGRODNICTWA



D. 21 b. m. obchodziło jubileusz dziesięcioletniej pracy znane ze swej zaszczytnej działalności Koło Miłośników Ogrodnictwa, którego prezesem jest p. St. Szömfeld. Dzień jubileuszu uświetniony został otwarciem wystawy „Polska Jesień“, na której oprócz bardzo dekoracyjnie przedstawionych darów polskiej jesieni, jak to widać na załączonej fotografii, zwracały ogólną uwagę nader ciekawe tablice statystyczne, ujmujące rozwój działalności Towarzystwa w ciągu dziesięciu lat pracy.

Pożytecznej i sympatycznej tej instytucji przesyłamy serdeczne życzenia dalszej owocnej pracy.

PRZEPISY GOSPODARSKIE

GALARETA Z WIEPRZOWINY

Jedno ucho wieprzowe wraz z przylegającą częścią głowy i dwie nogi wieprzowe, razem około dwóch kilo mięsa, ugotować, a raczej rozgotować zupełnie, dodając dwie marchwie, dwie pietruszki, dwie cebule, kawałek selera, listek, kilka ziarn pieprzu i ziela, 1 goździk. Gdy mięso zupełnie od kości odstanie, pokrajać je w jaknajdrobniejszą kostkę, starannie odrzucając kości. Smak zastudzić, zdjąć zeń wszelki tłuszcz, rozpuścić ponownie na ogniu, dodać parę łyżek octu, zagotować razem. Do formy nalać kilka łyżek tej galarety, zastudzić; na to ułożyć pół cytryny, pokrajanej w plasterki, jajko ugotowane na twardo, tak samo pokrajane, kilka korniszonów, listki zielonej pietruszki. Włożyć pokrajane mięso, zalać resztą smaku, zastudzić. Wyrzucić na półmisek, ubrać zieloną, lub jarzynową sałatką. Oddzielnie podać do tego ocet z chrzanem

PROSIĘ W GALARECIE

Ćwiartkę prosięcia, wagi około półtora kilo, ugotować wraz z marchewką, pietruszką, paru cebulami, kawałkiem selera, pieprzem, listkiem, zielem, gałązka

majeranku. Gdy mięso miękkie, wybrać,— a powinno być dobrze rozgotowane,— ostudzić. Tymczasem włoszczyznę i korzenie odrzucić, rosół, jeśli nie dosyć czysty, sklarować białkiem, rozbitem z łyżką octu, precedzić, dodać na każdą szklanke listek białej żelatyny, wpięć rozmoczonej w zimnej wodzie; przygotować dwa jaja, ugotowane na twardo, pokrajane w plasterki; tak samo pokrajać marchewkę i pietruszkę, ugotowane w rosoli, cytrynę obraną ze skórki, parę korniszonów. W sporą formę wlać kilka łyżek galarety; gdy zastygnie, ułożyć na niej ładnie połowę dodatków, zgrabnie pokrajaną w kawałki połowę prosięciny, znowu dodatki, znowu prosięcinę; zalać resztą galarety, aby dobrze pokryła, zastudzić na chłodzie, trzymając w formie przynajmniej ze sześć godzin. Podawać na półmisku, ubrane zielenią; oddzielnie sos tatarski, sos zielony, „remoulade“, lub chrzan ze śmietaną.

KROKIETY Z SZYNKI

Przy użyciu całej szynki gotowanej, po skrajaniu ładnych plasterków, około kości pozostają różne nierówne, drobniejsze kawałki, których użyć nie sposób inaczej, jak po usiekaniu drobno. Otóż dwadzieścia deka takiej usiekanej, chudej szynki zmieszać z dwudziestu deka również usiekanej słoniny od szynki i 40 deka przepuszczonych przez maszynkę ugotowanych, mączystych kartofli. Dodać dwa jaja całe, osolić do smaku, wsypać odrobinę białego pieprzu, garstkę zielonego koperku, wyrobić doskonale. Uformować z tego dwadzieścia zgrabnych, okrągłych, lub podłużnych krokietek, utarzać w mące, potem w rozbitem jajku, nakoniec w tartej bułeczce i usmażyć na rumiano w rozpalonym szmalcu, lub fryturze. Obłożyć temi krokietami szpinak, zielony groszek, zieloną fasolką, lub purée kartoflane. Można też takie krokiety podać do przekąski bez żadnego garnituru z musztardą, chrzaniem z octem, sosem majonezowym i t. p.

KLUSKI DROŻDZOWE

Pół kilo mąki rozdzielić na połowę. Połowę sparzyć wrzącem mlekiem, włożyć w to pięć deka masła, rozbijać, aż się zrobi gładka masa bez klusek i grudek. Gdy zupełnie ostygnie, dodać dwa deka drożdży, rozbitych w paru łyżkach letniej wody, nieco soli, jedno, lub dwa jaja i resztę mąki; wyrobić doskonale. Porobić z tego nieduże gałeczki, ułożyć na desce, posypanej mąką, i postawić w ciepłe, aby podrosły. W dużym garneczku, aby się kluski nie podusiły, zagotować osoloną wodę, rzucać na nią kluski. Gotować około pięciu minut. Odlać na durszlak, lub lepiej wyjmować durszłakową łyżką, aby się nie pogniotły. Na półmisku polać roztopioną słoniną, lub zrumienionem masłem z bułeczką.

LABORATORJUM HIGJENICZNYCH KOSMETYKÓW podług przepisu Dr. J. ŚWITALSKIEJ

Jajeczka do mycia włosów. Płyn do włosów. „Mój puder higieniczny“ we wszystkich odcieniach. Perełki białe i różowe do pielęgnacji cery i biustu. „Mój krem“ (w tubkach). Krem do rąk. Galaretka na łojotok Nr 1 i 2. Krem na opaleniznę. Mydło cytrynowe, poziomkowe i liljowe. Nowość sezonu: Krem poziomkowy (udielikatniający). Krem cytrynowy (wybielający).

UWAGA: dla dzieci krem, puder i mydło ziołowe.

HIGJENICZNE KOSMETYKI — KRUCZA 31, m. 3.

DOBRA WÓDKA PRZYPOMINAJĄCA STARKE

Pół litra spirytusu rozebrać pół litrem gotowanej i ostudzonej wody. Do dużej butli wrzucić pół suszonego jabłka, jedną suszoną gruszkę, łyżeczkę herbaty, wyjętej z imbryczka po uprzednim zaparzeniu jej i zlanu zupełnie dobrze wystudzonej, łuski z pięciu orzechów laskowych i kawałeczka, rozmiaru ziarenka grochu, kwasu cytrynowego. Butelkę zakorkować, potrzymać w ciepłe tydzień, zlać ostrożnie, aby nie zmącić, i używać. Bardzo smakiem i kolorem przypomina starke.

Pani Elżbieta

DOBRE RADY

Jeżeli mamy w kuchni jakieś miedziane naczynie, które, dawno nie używane, bardzo jest brudne, oczyścimy je doskonale solą kuchenną z octem. Trzeba tylko ręce zabezpieczyć starymi rękawiczkami, bo mieszanina ta parzy, a rondel czyścić ostrą szczotką z rączką. Po wytarciu, płókać w ciepłej wodzie, dobrze wysuszyć i z wierzchu oczyścić jakimkolwiek preparatem do czyszczenia metali.

* * *

Sól kuchenna rozmaicie da się zastosować: 25 gramów soli, rozpuszczonej w dużej szklance przegotowanej wody, stanowi doskonały środek przeczyszczający, który trzeba wypić na wieczór przed udaniem się na spoczynek.

Uderzywszy się silnie, obłożyć potłuczone miejsce kompresem z bardzo słonej wody, a ból ustąpi i jeśli kompres był prędko zastosowany, nie będzie siniaka.

Wymoczenie zmęczonych nóg w słonej wodzie działa na nie bardzo wzmacniająco i orzeźwiająco.

Wciągnięcie do nosa słonej wody przerywa natychmiast katar, płókanie gardła taką wodą leczy zapalenie i dobrze wpływa na zabezpieczenie od częstych bóli i chrypek.

Do mycia butelek od mleka, najbardziej zastarzałych, należy używać wody z solą.

Plamy z owoców i od wina czerwonego na białym stołowej trzeba natychmiast posypać mialką solą, a łatwo dadzą się następnie wyprać.

Wkońcu, jeżeli wykipi mleko, lub coś innego na blachę, dla uniknięcia przykrego odoru, posypać ją grubą solą kuchenną.

KORESPONDENCJE

Do Sz. Prenumeratorek „Bluszczu“. Redakcja „Bluszczu“ zawiadamia, że z wszelkiego rodzaju porad, nie wyłączając kosmetyki, będą mogły korzystać wyłącznie prenumeratorki „Bluszczu“. Wobec tego prosimy uprzejmie Sz. Panie o podawanie swych adresów na listach, kierowanych do nas z wszelkiego rodzaju zapytaniami.

Pani M. C. Radom. Za proponowane nam rysunki uprzejmie dziękujemy; mamy stałe współpracowniczki, których praca nam wystarcza; adres Sz. Pani zanotowaliśmy i wrazie potrzeby pamiętać o nim będziemy

P. H. Wolińska. Płótno lniane nabyć można w Żyrardowie (skład płótna Marszałkowska 154). Najszersze jest 160 cm. Kosztuje około 7 zł. metr. Szare tej samej szerokości—około 6 zł. Bardzo dobre gatunki czysto-łniane można dostać w Przemysle Ludowym na Tamce Nr 1.

P. Halinie Dębskiej. Naukę i sposób liworyzacji podawał „Bluszcz” w Nr. 9 r. b. Wszystkie przybory nabyć można w firmie Buroff, Nowy-Swiat 47: Liwor, tutki papierowe, farby prof. Buszka, lub anilinowe, oraz proszki metaliczne i złoto w kilku cieniach, pendzeli włosiane, jednym słowem wszelkie przybory, potrzebne do liworyzacji.

Pani J. B. Lwów. Butelki od nafty, oliwy, tranu etc. trzeba myć kawałkami bibuły, lub miękkich, starych gazet. Nałożyć w butelkę, którą wypłókuje się wodą zimną, dopóki w butelce jest choć trochę tłuszczu, dokładając świeże kawałki bibuły w miarę potrzeby. W tym celu można też użyć obierzyn z kartofli.

P. A. W. w Stryju. Służyć Sz. Pani możemy zeszytem „Życia Praktycznego”: „Ozdoby choinkowe”, albo specjalnym wydawnictwem: „Wzory ozdób choinkowych”. Po otrzymaniu 1 zł. 80 gr. na „Życie Praktyczne”, lub 5 zł. 60 gr. na „Wzory ozdób choinkowych”, wyślemy natychmiast żądane zeszyty.

Znajdzie w nich Sz. Pani rysunki kolorowe i dokładny opis każdego przedmiotu. Innego rodzaju robót, życzonych przez Szan. Panią nie wydaliśmy jeszcze, i nie słyszałam, żeby broszury tego rodzaju były wydane.

Z DZIEDZINY KOSMETYKI

Irenie. Niestety, niema depilatoru, któryby na stałe usuwał włosy z twarzy. Przy słabszym uwłosieniu stosować nacieranie miejsc uwłosionych wodą utlenioną, przy silniejszym—elektroliza lub diatermia usuwa na stałe. Na jednym posiedzeniu można usunąć tylko 12 włosów.

Na wągry proszę przeczytać ogólną odpowiedź na łojotok. Przeciw siwieniu włosów stosować środki, ogólnie wzmacniające organizm oraz sam włos.

Kresowiance. Żyłaki obecnie dają się usuwać zupełnie za pomocą specjalnych zastrzyków dożylnych. Bez operacji w przeciągu kilkunastu dni usuwa się nazawsze tę dolegliwość. W Warszawie specjalnie paru lekarzy-chirurgów leczy temi zabiegami. Wszelkie pończochy i opaski są przestarzałe.

Nieszczęśliwej. Parafinowe obchudzanie obecnie jest bardzo modne, nie może jednak być stosowane bez polecenia i kontroli lekarskiej. Lekarz musi skonstatować stan zdrowia i dopiero wtedy ocenić, czy dany organizm może poddać się parafinowemu odtłuszczaniu. W każdym razie działanie tego zabiegu jest bardzo dobre przy artretyzmie i złej przemianie materji.

Pani M. w Wilnie. Na listy prywatne z zasady nie odpowiadam, uwzględniam jednak prośbę biednej sieroty. W Warszawie istnieje 4 miesięczny kurs kosmetyczny, opłata 100 zł. miesięcznie; obecnie jest już rozpoczęty, następny rozpocznie się w styczniu. Adres—dr. Biernacka, ul. Koszykowa 3.

IV WIELKA WYSTAWA DROBIU W WARSZAWIE

Centralny Komitet Hodowli Drobii w Warszawie, przy współudziale Zjednoczenia Towarzystw Hodowców Gołębi Poczтовых urzędu IV Wszepolską Wystawę Drobii.

Wystawa odbędzie się w dn. 12—15 listopada 1927 roku w Dolinie Szwajcarskiej, ul. Szopena 3/5 i będzie obejmować następujące działy: 1. Drób ras polskich i zagranicznych. 2. Gołębie pocztowe i rasowe. 3. Ptactwo ozdobne i łowne. 4. Króliki. 5. Zwierzątka laboratoryjne. 6. Zwierzątka futerkowe. 7. Przemysł i Handel drobiowy. 8. Przybory hodowlane. 9. Pasza dla drobiu. 11. Wydawnictwa fachowe. 12. Targ drobiu.

Celem zgromadzenia jaknajwięcej okazów tak od hodowców większych, jak i drobnych, opłaty ustanowiono minimalne. Zwrócono się również do władz kolejowych o ulgi przewozowe.

Przywiązując wagę do obesłania wystawy doskonałym materiałem zarodowym, położony będzie duży nacisk na zorganizowanie działu targu drobiu, dla umożliwienia hodowcom kupna pierwszorzędnych okazów.

O wszelkie informacje w sprawie wystawy zwracać się należy do Centralnego Komitetu Hodowli Drobii, Warszawa, ul. Kopernika 30, tel. 201-38.

UWAGA: Kroje umieszczonych modeli, w Dodatku Mód, dostarczamy po cenach następujących:

palto, lub suknia fantazyjna	zł. 3,50
suknia zwyczajna	„ 2,50
bluzka	„ 2,00
formy dziecinne	„ 2,00
bielizna	„ 1,50

Wzory, umieszczane w zmniejszeniu w dodatku mód i robót, mogą być dostarczone w wielkości naturalnej po cenach następujących:

obrusek — makata — ekran —	zł. 2,50,
poduszka — serwetka —	zł. 1,50,
drobne desenie —	gr. 75.

Przy zamawianiu wzorów należy koniecznie wymienić numer wzoru i rok, gdyż innych wzorów poza temi, które były umieszczane w „Bluszczu”, nie wysyłamy.

Formy i wzory wysyłamy tylko po otrzymaniu przy zamówieniu należności w znaczkach pocztowych lub przekazem.

„Jak się robi kapelusze“

DOKŁADNA NAUKA ROBIENIA LETNICH I ZIMOWYCH KAPELUSZY

CENA 1 zł. 50 gr.

Z przesyłką pocztową cena 1 zł. 80 gr.

Wysyła Administracja „ŻYCIA PRAKTYCZNEGO”, Warszawa, Krak. - Przedm. 99, po otrzymaniu należności przekazem, lub w znaczkach pocztowych.

Za zaliczeniem nie wysyłamy.

„Pędzenie roślin w pokoju“

SFOSÓB WYHODOWANIA W POKOJU KWITNĄCYCH HIACYNTOŃ, TULIPANÓW I T. P.

CENA 1 zł. 50 gr.

Z przesyłką pocztową 1 zł. 80 gr.

Wysyła Administracja „ŻYCIA PRAKTYCZNEGO”, Warszawa, Krak. - Przedm. 99, po otrzymaniu należności przekazem, lub w znaczkach pocztowych.

Za zaliczeniem nie wysyłamy.

Wydawca: Tow. Wydawnicze „BLUSZCZ”. Sp. z ogr. odp.

Redaktorki: STEFANJA PODHORSKA - OKOŁÓW (naczelną) i MARJA PODHORSKA - OKOŁÓW
Redakcja i Administracja: Warszawa, Krak. Przedm. 99, tel. 239-40. Ekspedycja: ul. Górnośląska 19. Tel. 244-75.

Druk. Zakł. Graf. Tow. Wyd. „BLUSZCZ” Rymarska 8, tel. 244-18.